

Rok XXXIII

Nr e-155 (351)

Wrzesień 2019

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Majowa wędrówka	Krzysztof Gdula	3
Ruiny zamku Szczerba, pszczoły i Solna Jama	Alicja Kliber	6

OJCZYSTE SZLAKI

Cztery tysiące lat tradycji górniczych.	Tomasz Kowalik	9
--	----------------------	---

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

Refleksje na połowę sezonu	Juliusz Wysłouch	12
Cytat miesiąca	Juliusz Wysłouch	12

EKOLOGIA NA SZLAKU

Żółta zaraza w Pieninach	Ryszard M. Remiszewski	15
--------------------------------	------------------------------	----

GLOBTROTER

Czy coś łączy rejon Rathewalde z Sudetami?	Bartosz Skowroński	17
Z plecakiem przez Morawski Kras	Elżbieta Zawadzińska	18

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Ewa i Witek zapraszają do Doliny Baryczy	Sławomir Chojnacki	20
Walory Parku Krajobrazowego „Dolina Bystrzycy”	Zbigniew Norbert Piepiora	23
Wycieczka Szlakiem Twardych Zawodów	Krzysztof Tęcza	26
XXI Regionalna Konferencja w Myśliborzu	Krzysztof Tęcza	29
Zamek na Czorsztynie – wydarzenie kulturalne w Pieninach	Ryszard M. Remiszewski	31

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Mikołaj Witaszewski	Janusz Fuksa	36
---------------------------	--------------------	----

RECENZJE I NOWOŚCI

Z opustoszałego lasu echo niesie.....	Tomasz Kowalik	37
Recenzja książeczki <i>Bacówki Edwarda Moskały</i>	Sebastian Jakobschy	39
Recenzja mapy „Świątokrzyskie. 101 atrakcji turystycznych”	Sebastian Jakobschy	40

Na okładce: Izera w okolicach Kobylej Łąki w Górach Izerskich. Fot. Piotr Dacko

Majowa wędrówka

Mimo że wstałem o drugiej, świt zastał mnie w drodze; cóż, niewiele już brakuje dniom z końca maja do najdłuższych w roku. Dzień wstawał chmurny, świat przygnieciony był zwałami ciężkich, sinych chmur. Jechałem, licząc na zmianę pogody w ciągu dnia, ale słońca nie zobaczyłem do zmierzchu. Samochód zaparkowałem na końcu uliczki wsi Komarno, o kwadrans drogi od Skopca i dobrze znanymi drózkami ruszyłem na Ziemski Kopczyk, szczyt, z którego są ładne i rozległe widoki – od Jeleniej Góry po szczyty Gór Wałbrzyjskich. Ścianę Karkonoszy zobaczyłem zimową: zamgloną, ciemną, zimną, bez kolorów, na które tak bardzo liczyłem.

Nie układałem planu wędrówki na dzisiejszy dzień, po prostu odruchowo pomyślałem o zboczach kilku ulubionych gór i tam pojechałem. Stoki Dudziarza stopniowo wysuwają się na czoło mojej listy najbardziej urokliwych i najbardziej urozmaiconych miejsc. Byłem tam wiele razy, a w czasie każdej wędrówki odkrywam nowe zakątki. Chyba nigdzie nie ma tak wielu



Dudziarz z Ziemskiego Kopczyka

zboczy, dolinek, malowniczych kęp drzew, schowanych przed wszystkimi zaułków, a na pewno nie ma tak wiele głogów i róż. Są tam miejsca, które bez przesady można nazwać laskami głogowymi i różanymi. Róże jeszcze zbierają siły do kwitnienia, głogi właśnie zaczynają swój godowy okres. Ich kwiaty są takie... zwykłe, jednak białe pąki mają urok trudny do przewyższenia.

Zadziwiała mnie zieleń drzew i traw – jakże zwykła o tej porze roku i jak bardzo niezwykła dla mnie, zimowego łazika. Uśmiechałem się, obserwując u siebie odruchowe rozpoznawanie gatunków drzew po pniach i korze, nie liściach, chociaż trzy stojące w Trzmielowej Dolinie wielkie wiązy dopiero pokazawszy mi swoje liście, pozwoliły się rozpoznać bez wątpliwości. Wiązy... Są one przykładem tych licznych splotów real-



Na zboczach Dudziarza

ności z fantazją, teraźniejszości z przeszłością, które razem tworzą nasze życie wewnętrzne. Kiedyś zwiedzałem starą posiadłość w UK (a tam stary dom musi mieć chociaż 500 lat; dwustuletni nie jest starym), zapamiętałem widziane w parku ogromne rosochate wiązy z pniami pełnymi zgrubień i narośli; w chmurny dzień zimowy wydawały się ilustracją horroru, a te dzisiaj oglądane niewiele im ustępują czynionym wrażeniem. Pamiętam

chwile pod innymi wiązami, a teraz do tej listy dodaję wiekowe wiązy rosnące w najładniejszej dolinie kaczańskiej.

Kwiaty wśród traw. Czasami pojedyncze lub w małych grupkach, częściej widoczne z daleka białe, żółte lub niebieskie duże łany. Moja znajomość ich nazw jest zawstydzająco słaba, rozpoznałem jedynie kaczeńce i niezapominajki, a wszystkie były dla mnie, przywykłego chodzić wśród martwych traw zimowych, uroczymi zjawami z innego świata.



Głogi na Dudziarzu

Nie mogę powiedzieć, że wszystkie kwiaty, jednak niewątpliwie ich większość jest dla mnie materialnym obrazem idei piękna. Nawet te dzisiaj oglądane zwykle kwiatki łąkowe takie są, a żeby dostrzec owo piękno zakłute w ich kształtach i kolorach, wystarczy chwila czasu, oczy szeroko otwarte i z bliska patrzące oraz potrzeba zobaczenia – czynnik tutaj najważniejszy.

W kwiatkach fascynuje mnie bogactwo kolorów, symetria ich budowy, wdzięk linii. Kształt kielicha konwalii, łuk jego rozchylenia na brzegach jest doskonałością. Tak bardzo godny podziwu wygląd kwiatów zadziwia tym bardziej, że przecież nie dla nas, nie dla naszego podziwu został wykształcony, prędzej już dla zapylających je owadów.

Oglądałem czereśnie, oczywiście już przekwitłe, chociaż znalazłem jedno drzewo spóźniające, w ostatniej chwili kwitnienia; mało, nawet bardzo mało widziałem zawiązków owoców. Nie trafiły te drzewa w dobry czas swoim kwitnieniem. Nigdy nie widziałem czerwonych owoców czereśni w moich górach, nigdy ich nie próbowałem. Może jednak kiedyś zobaczę i spróbuję?...

Wszedłem w las znany mi z poprzednich wędrówek, chcąc odszukać zaznaczone na mapie skały. Mimo chmurnego dnia las zobaczyłem zielony, przytulny, swojski, a z pewnej zimowej wędrówki pamiętam go zupełnie innym: na dróżce leżał mokry stary śnieg poproszony uschniętym igliwem, moje ślady nabiegały czarną wodą, z drzew spadał topniejący śnieg wydając mlaszczące odgłosy, było mokro, zimno i nieprzytulnie. Zapamiętałem tamte chwile z powodu odczuwanego zadowolenia, nawet radości wędrowania, co, wzięwszy pod uwagę aurę, dziwiło mnie. Dzisiaj znalezione skały wydały się bardzo, bardzo stare: głęboko spękane, rozwarstwione, omszałe, czarne. Patrząc na kaczańskie skały, mam silne wrażenie patrzenia na czas liczony w milionach lat. Wydaje mi się, że te skały zamaryły w takim kształcie wtedy, gdy wokół biegały dinozaury i od tamtej pory stoją nieporuszone, że są wieczne.

Podejście do nich wiodło chwiejnym rumowiskiem skalnym porośniętym mchami, na których buty się



ślizgały lub płątały w gęstwinie płożących pędów jeżyn – dobre miejsce do połamania nóg. W nagrodę miałem satysfakcję z odnalezienia miejsca ukrytego wśród drzew i tyleż już razy odczuwany, a zawsze świeży, podziw dla uporczywości życia wykorzystującego każdą możliwość, niechby to była rysa w skale, by znaleźć miejsce dla siebie i rosnąć. Ze szczeliny pionowej skały poziomo wyrasta tam spora lipa, a odsunąwszy się od skały,

Kwiaty głogu

łukiem wygina pień w górę, ku słońcu. Rośnie, żyje.

Widząc boczny dukt odchodzący od głównego w pasującą mi stronę, poszedłem poznać go. W moich górach nie zabłądzę, ale przecież nie znam wszystkich drózek, jest ich w lasach cała poplątana sieć. Skręciłem więc i niewiele dalej znalazłem źródło tuż przy dróźnie. Takie prawdziwe źródło z wodą bijącą spod kamienia i dźwięcznie dążące po pochyłości stoku ku swojemu przeznaczeniu, ale niewiele niżej zgubiłem strumyk. Zawróciłem, chcąc odszukać go i po chwili okazało się, że dla tego strumyka przeznaczenie jest zaskakujące: rozlewał się po płaszczyźnie zbocza i tam, wśród piaszczystych łąk, kończył swój żywot, na powrót wracając tam, skąd przybył – do podziemnego świata.

Wziąłem ze sobą dwie butelki wody, rezygnując z herbaty zaprawionej sokiem malinowym, której wielki termos zawsze zaparzę, szykując się do zimowej wędrówki. Brakowało mi mojej herbaty. Uświadomiłem sobie, że tak przyrządzoną pijam tylko w czasie górskich wędrówek, zapewne dlatego jej smak i aromat do tego stopnia związał się ze szlakiem i górami, że ich obraz okazuje się być niepełny bez herbaty z sokiem malinowym.

Mijając ostatnie drzewa lasu, zobaczyłem w oddali kępę drzew na małym wybrzuszeniu zbocza Ogiera – jedno z tak wielu bliskich mi miejsc w moich górach. Cóż w nim wyjątkowego? Nic, aczkolwiek ma swój naturalny urok śródpolnych i łąkowych kęp drzew. To miejsce jest wyjątkowe przez związek z nim myśli, wrażeń, marzeń, pisania i mojego czasu. To mój duch czyni z kępki brzoź i kupki kamieni miejsce wyjątkowe i wiąże mnie z nim wieloma nićmi; mocnymi, aczkolwiek nieistniejącymi w świecie na zewnątrz mnie. Każdy z nas ma takie miejsca, w których świat zewnętrzny jest bliższy naszemu duchowi. Między brzozami zobaczyłem wielką belę szerniałej trawy. Te kupy sprasowanych traw są zakałą kaczkawskich krajobrazów; w wielu miejscach, a zwłaszcza w kępach krzewów i drzew, na miedzach i przy uskokach terenu, leżą i gniją, czarne i śmierdzące, za co obwiniam urzędasów płacących rolnikom za zebranie skoszonej trawy, ale nie za jej wywiezienie. Pomyślałem, że jeśli ruszę tę rolkę z miejsca, potoczy się w dół zbocza, uwalniając i oczyszczając moje miejsce. Zaparłem się raz i drugi, ale nie byłem w stanie jej unieść. Będzie tam leżeć i gnić przez wiele lat.

Na stoku Dudziarza zobaczyłem przewrócone przez starość i próchniejące w trawie ogrodzenie łąki zrobione z żerdzi.

Pojawia się człowiek i mówi: to moje! Dzieli odwieczną przestrzeń góry na swoją – nie swoją i wydaje się mu, że teraz jest u siebie. Mija dziesięć lat albo sto, człowiek znika, ogrodzenie się przewraca i obraca w próchno, a góra trwa nieporuszona, w nosie mając owe jętki jednodniówki zwane ludźmi.

Krzysztof Gdula



Fragment Trzmielowej Doliny ze stoku Ogiera

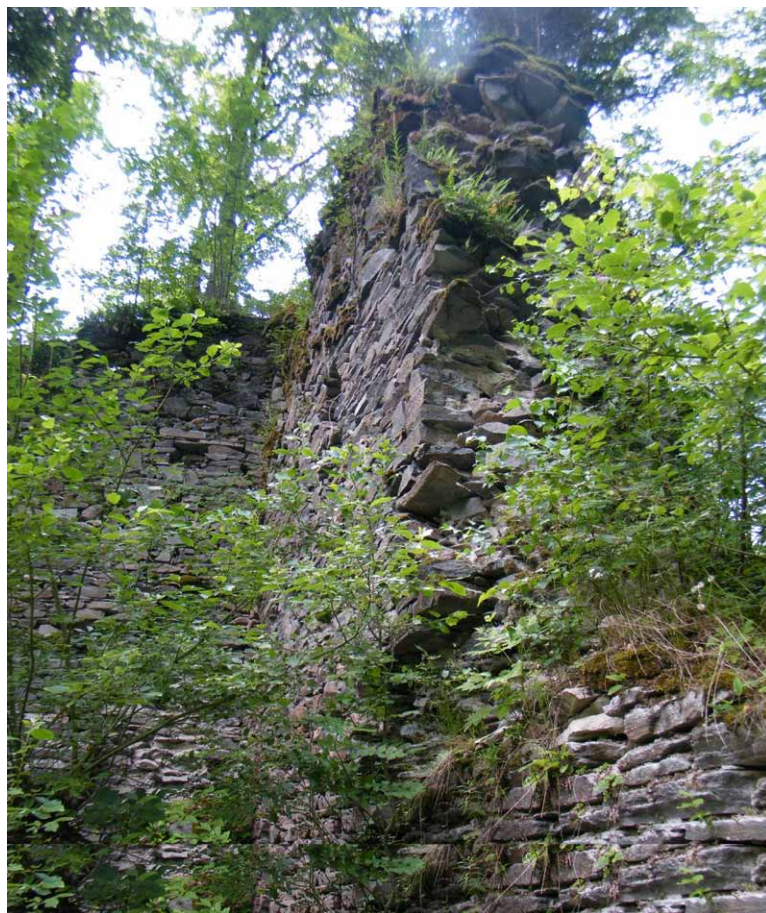


Kopalnia na Połomie, w głębi, nad Młynem, widać Żeleźniaka

Ruiny zamku Szczerba, pszczoły i Solna Jama

Szczerba, Homole i Karpień to ruiny trzech średniowiecznych warowni Ziemi Kłodzkiej. Wśród nich jedynie zamek Szczerba, leżący na terenie wsi Gniewoszów, zachował swój XIV/XV wieczny układ i pozostał najlepiej zachowanym na Dolnym Śląsku. Inne duże zamki naszego regionu w różnym stopniu zostały w swej historii przebudowane na renesansowe, barokowe lub późniejsze. Dziś kierunek Szczerba i Solna Jama. Do zamku można dojechać od strony Gniewoszowa (ok. 8 km), lecz należy dobrze rozglądać się, bo drogowskaz i oznaczenie niebieskiego szlaku skrywają bujne o tym czasie zarośla i drzewa. Przy drodze znajduje się miejsce do zaparkowania nie więcej niż 4 samochodów. Przechodzę strumień i kieruję się ścieżką w lewo. Po chwili stoję przed kamienną ścianą i wchodzę schodkami prowadzącymi na dziedziniec przez dobrze zachowaną bramę. Szczerba został zbudowany na wzgórzu o wysokości 520 m n.p.m. Kamienny zamek strzegł drogi handlowej prowadzącej z Pragi przez Przełęcz Międzyleską do Wrocławia. Dokładna data powstania ani fundator nie są znane. Pierwszy raz pojawia się w historii w XIII wieku, kiedy to czeski król Wacław II podarował go zakonowi cystersów z Kamieńca Ząbkowickiego. Otoczony był wykutą w skale fosą i stromym zboczem, u którego podnóża płynie strumień. W 1318 roku zamek został pierwszy raz zniszczony. Potem stał się własnością czeskiego rodu rycerskiego, a następnie w połowie XIV wieku właścicielem był Otto von Glaubitz. W czasie wojen husyckich w 1428 roku zamek został zdobyty i ponownie zniszczony. Od tego czasu pozostaje w ruinie.

W XVIII wieku część ruin została rozebrana, a materiał posłużył do budowy browaru w sąsiedniej wsi - Różance. Choć górna część zamku uległa mocnej destrukcji (zachowała się część murów z basztą i budynkiem mieszkalnym), to wciąż można podziwiać układ pomieszczeń wpisanych w wysokie, bo 13-metrowe mury o szerokości ok. 2,2 m. Dziedziniec zamkowy liczył ok. 40 m długości i 10–18 m szerokości. Łącznie z murami, ale bez fosy, zamek zajmował ok. 10 arów. Otaczający mur liczył 130 m długości. Na początku lat 90. ubiegłego wieku przeprowadzone zostały badania archeologiczne. Odsłonięto prawie cały zarys części mieszkalnej i bramę główną. Cenną częścią murów jest furta, która zachowała się w całości i pochodzi z XIV wieku, czyli z początków budowy zamku. W wyniku kilkuletnich badań odnaleziono około 30 tysięcy zabytków. Były to



Ruiny Zamku Szczerba



Kłody bartne

fragmenty ceramiki pochodzące z naczyń, kafli i gąsiorów oraz inne – z żelaza, szkła, brązu, kości, srebra i muszli. Na poziomie piwnic odkryto cztery pomieszczenia i piec typu hypocaustum (piec ustawiony pod posadzką, ogrzewał powietrze. Posadzka układana była na szeregu podpórek. W ten sposób powstawały kanały, które wypełniało gorące powietrze. Niekiedy ogrzewane w ten sposób były także ściany). Mury wokół można obejść dziką ścieżką – dość zarośniętą. Warto jednak przyjrzeć się z bliska kamieniom, z jakich zbudowano warownię i wielu otworom w dolnej części murów, które nie wiem, czemu służyły. W suchej obecnie fosie postawiono wiatę turystyczną, gdzie można odpocząć przed dalszą drogą niebieskim szlakiem, przez piękne teraz łąki, a prowadzącą do Solnej Jamy – jaskini oddalonej ok. 3,5 km od ruin zamku.

Idąc dalej niebieskim szlakiem, co jakiś czas mijałam wielkie kłody drewna przymocowane na różnych gatunkach drzew na wysokości ok. 4 metrów nad ziemią. To kłody bartne. Nowy pomysł na zwiększenie populacji dzikich pszczół (tzw. borówek) w lasach. Bartnictwo było dawniej bardzo popularne, a polskie lasy słynęły z miododajnych barci. O bartnictwie na terenie dzisiejszej Polski już od X wieku można przeczytać w dokumentach. W średniowieczu było największą gałęzią gospodarczą, z czasem jednak zanikało. Powodów było wiele. Wśród nich wojny oraz karczowanie lasów. Największy rozwój tej profesji w Polsce przypada na XVI i XVII wiek, a zanika w wieku XIX. Zbieraniem miodu zajmowali się bartnicy (bartodzieje). Był to zawód dziedziczny. Zasiedlone barcie i kłody bartne można dziś znaleźć już w wielu polskich lasach np. w Lasach Spalskich, Puszczy Świętokrzyskiej, parkach narodowych – Biebrzańskim i Wigierskim. Wiszące kłody to dziuple dla pszczół. Wykonywane są z pni ściętych drzew i wydrążone wewnątrz. Natomiast tradycyjna barć, to wydrążony wewnątrz (na wysokości 20 m) pień żywego drzewa. Drzewo musi mieć też odpowiednią średnicę, a obwód ok. 150 cm. Takie wymiary ma drzewo około 150-letnie. Barcie i kłody bartne zakłada się w pobliżu śródleśnych łąk i w pobliżu wody. W okolicach Międzyzlesia nie znalazłam żadnej barci, być może są mniej widoczne niż wielkie kłody wiszące tu na pniach. Po około godzinnym spacerze ledwie widoczną drogą wśród łąk docieram do lasu, gdzie na drodze wyrósł dorodny borowik – prawdziwek. Był tak piękny, że jego wygląd spowolnił mój marsz do jaskini. Po kilku krokach drugi i następne.

Po zebraniu tych darów lasu ruszyłam w dalszą drogę, która, choć szeroka i kamienista, zaczęła dość stromo schodzić w dół. Gorący dzień i nieznana droga wydawały się nieskończone. Pies już dość dawno

wypił swoją i moją wodę, bo mijany strumień okazał się wyschniętym korytkiem. Otuchy dodawał szmerzący kolejny strumień, choć wciąż niewidoczny. Po chwili dotarliśmy do błotnistego brzegu strumyczka, w którego czarnej mazi zapadały się psie krótkie łapki. Droga wciąż opadała w dół, choć nie tak już stromo. Na drzewie zobaczyłam odręczny napis „Solna Jama”. Należało podejść jeszcze jakieś sto metrów i byłam u celu. Solna Jama to pozioma szczelina, schodząca w dół i mocno się zwężająca. Nie wchodziłam do jej głębszych czeluści. Wystarczył mi opis na tablicy i moja wyobraźnia.

Jaskinia powstała w marmurach. Ściany i sufit były wilgotne i od kropli spływała w jej głąb. Ta długa na 40 i głęboka na 5 metrów jaskinia jest częściowo zalana wodą. Żyją tu endemiczne owady i ślepe raczki – studniczki. Po prawej stronie korytarza znajduje się kilka niewielkich wnęk, a w stropie niewielki komin. Ta mała jaskinia znana i opisana była już w XVIII wieku, a także często odwiedzana przez zoologów badających jaskiniową faunę. W 1888 roku raczka studniczka opisał polski badacz August Wrześniowski. Raczek to 1,5 centymetrowy relikwirus trzeciorzędowej fauny morskiej. Jaskinia być może miała kiedyś naturalne drugie wejście od strony strumienia, gdyż dokonano tu także ciekawych odkryć paleontologicznych. Były to kości niedźwiedzia jaskiniowego i rosomaka. Pełna wrażeń, ze zdjęciami i grzybami ruszam kamienistą drogą w górę. Teraz już spokojniej obejrzę sobie panoramę Śnieżnika, Międzygórza i jakbym oglądała film puszczonego od tyłu mijam wyschnięty strumień, las z kłodami bartnymi, wciąż robiące wrażenie ruiny zamku Szczerba, kolejny strumień i parking.



Solna Jama



**Widok
na Masyw Śnieżnika**

Alicja Kliber

Cztery tysiące lat tradycji górniczych

Od początków polskiego ruchu krajoznawczego i regionalnego Kraina Świętokrzyska należy do znanych, opisywanych w licznych dziełach wielu artystów. Wiele obiektów to wybitne zabytki kultury materialnej znane w skali europejskiej i światowej. Muzeum i rezerwat archeologiczno-przyrodniczy Krzemionki k/Ostrowca Świętokrzyskiego to światowej sławy unikat, niezmiennie podziwiany i badany przez naukowców, i jeden z wielu polskich zabytków uznanych za Pomnik Kultury, udostępniony do zwiedzania.

Na długim sznurze pereł i różnorodnych zabytków Kielecczyny wyróżniają się także największe w Europie gołoborze na stoku Łysej Góry, wiekowa Puszcza Jodłowa, Staropolskie Zagłębie Przemysłowe, prehistoryczne dymarki do wytopu żelaza w Nowej Słupi i jeszcze bardziej starodawne neolityczne wspomniane kopalnie krzemienia pasiastego. Do Staropolskiego Zagłębia Przemysłowego o wielowiekowej tradycji należą też pozostałości huty w Samsonowie, piece do wytopu żelaza w Bobrzy i Kuźnikach, stare walcownie w Nietulisku i Maleńcu.

Na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO w lipcu 2019 wpisano prastarą kopalnię i osadę górniczą. Odkrył je w 1922 roku urodzony w Ostrowcu wybitny polski geolog, profesor Jan Samsonowicz (1888-1959). Na tej liście jest obecnie 16 polskich obiektów bardzo zróżnicowanych pod względem ich natury i walorów. Są to np. najstarsze części starych miast: Krakowa (od 1978), Warszawy (od 1980), Zamek w Malborku, zespół staromiejski Zamościa (1992), średniowieczny zespół miejski Torunia (od 1997), Obóz Auschwitz-Birkenau (od 1979), Hala Stulecia we Wrocławiu (od 2006), a także zespół 8 drewnianych cerkwi (współ z Ukrainą, od 2013)

Są też takie osobliwości przyrody nieożywionej i zasoby naturalne wykorzystywane przez człowieka jak Kopalnie Soli w Wieliczce i Bochni (od 1978 i 2013), Kopalnie Ołowiu, Srebra i Cynku w Tarnowskich Górach (od 2017). W wielu krajach świata za najcenniejsze uznano i wpisano na tę listę ponad tysiąc takich osobliwości naturalnych i dzieł człowieka. Krzemionki są także od 1994 roku Pomnikiem Historii – takich obiektów mamy 105 – i jest to jedna z form ochrony naszych najcenniejszych zabytków. Od 1985 roku Krzemionki są rezerwatem krajobrazowym. W latach 50. był on pod opieką Państwowego Muzeum Archeologicznego, a od 1968 roku po kilku latach wrócił do tego patrona. Niemal od razu po odkryciu tej osobliwości **naukowcy i krajoznawcy starali się o zorganizowanie muzeum prądziejowego górnictwa krzemienia i placówki naukowo-badawczej.**

Do najcenniejszych w Polsce zaliczane są też obiekty niezwykłej urody i wartości przyrodniczej, wpisane na Listę UNESCO, jak np. Puszcza Białowieska (od 1979, 1992, 2014), Łuk Mużakowski (wspólny z Niemcami od



2004). Wypada też wspomnieć, że największa na Kielecczyźnie impreza plenerna to Dymarki Świętokrzyskie, czyli rekonstrukcja i pokaz wytopu żelaza z rudy darniowej w prostych piecach zwanych dymarkami. Impreza odbywa się od 1967 roku zazwyczaj w sierpniu. Odkrycie dymarek było zasługą krajoznawcy, historyka i metalurga Mieczysława Radwana (1889-1968).

Krzemionki są to stare wyrobiska – kopalnie „Borownia” i „Koryczna” oraz neolityczna osada na wzgórzu Gawroniec. Wydobywano z ciasnych, dość płyt-



kich sztolni były krzemienia. Po obróbce ręcznej ich odłamki używane były od wieków do krzesania ognia, do wyrobu narzędzi codziennego użytku i prostej w obsłudze broni – grotów strzał, toporów i skrobaków do użytku domowego. W 163 krajach na Listę UNESCO wpisano około 150 takich osobliwych i budzących podziw obiektów..

Na początku lipca 2019 roku prehistoryczne kopalnie znane krajoznawcom i historykom górnictwa wyrobiska w Krzemionkach znalazły się na polskiej i międzynarodowej Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO. Równocześnie z tym sukcesem na Listę Światowego Dziedzictwa w Zagrożeniu UNESCO – na szczęście jeszcze nie wpisano Puszczy Białowieskiej. Od kilku lat, pomimo licznych protestów polskich obrońców przyrody i kilku międzynarodowych organizacji, nie ustaje jej zagrożenie wyrębami, jakby to był pospolity las gospodarczy. A jeszcze bardziej szokujące są ostatnio nasilone starania Polskiego Związku Łowieckiego o wpisanie na tę listę – co prawda też wiekowego i trwającego do dziś – polskiego łowiectwa wraz z jego krwawymi i budzącymi coraz większe sprzeczki tradycjami.

Krzemionki położone są opodal Ostrowca Świętokrzyskiego w województwie świętokrzyskim. Wpisanie ich na Listę UNESCO to swoiste szlachectwo i jednocześnie zobowiązanie polskiego społeczeństwa i samorządu lokalnego do poszanowania i pieczołowitej ochrony. Na liście znalazł się również w tym samym terminie niemiecki region przemysłu górniczego – Rudawy. To region położony na czesko-niemieckim pograniczu, uznany za unikatowy górski krajobraz kulturowy. Kopalnie srebra były tam czynne od XII wieku. Rejon ten miał duże znaczenie dla rozwoju kolejnych górniczych regionów w całej Europie, gdyż z migracją wykwalifikowanych górników rozchodziła się dalej ich specjalistyczna wiedza, a także wzory struktur administracyjnych i systemu finansowego.

Również w tym samym terminie na Listę UNESCO został wpisany średniowieczny system zarządzania wodą w Augsburgu. Bawarskie miasto szczyci się wodociągiem z 1548 roku. W ciągu wieków przybywało w nim fontann miejskich, zbiorników i wież wodnych, które złożyły się na unikatowy system zasilania w wodę. Bawarski wodociąg uważany jest za najstarszy w Europie. Drugi taki system zbudowano niecałe 25 lat później we Fromborku na potrzeby tamtejszych kanoników katedry związanej z osobą Mikołaja Kopernika.

Prehistoryczne kopalnie krzemienia pasiastego w Polsce pochodzą z młodszej epoki kamienia i wczesnej epoki brązu (funkcjonowały pomiędzy IV a II tysiącleciem przed naszą erą). W Krzemionkach znaleziono około 4 tysięcy szybów i wyrobisk górniczych połączonych gęstą siecią niskich chodników. Szyby mają do 9 metrów głębokości. W kopalniach ze skał wapiennych wydobywano były krzemienne, które po obróbce – niejako rzeźbiarskiej, po odłupaniu kawałków tej skały – służyły do wytwarzania narzędzi. Wyrabiane potem krzemienne, m.in. siekiery rozprowadzono w odległości nawet kilkuset kilometrów od kopalń.

W Krzemionkach bardzo dobrze zachowała się zarówno podziemna architektura – wyrobiska oraz chodniki, którymi poruszali się górnicy, jak i krajobraz na powierzchni. Część tych kopalnianych zabytków jest

udostępniona do zwiedzania w taki sposób, w jaki pracowali w nich pradawni górnicy. Wyraźnie widoczne są leje poszybowe, dawne wejścia do kopalń z hałdami obwałów materiału wapiennego, wydobytego z wyrobisk. W Krzemionkach można też zobaczyć różne typy kopalń: od najpłytszych jam po głębokie filarowo-komorowe i komory wydobywcze. Trasę turystyczną urządzono w 1985 roku i umożliwiono zwiedzanie pod opieką przewodnika.

Krzemionki należą do najatrakcyjniejszych osobliwości Krainy Świętokrzyskiej. Miejscowe muzeum

odwiedzają liczne wycieczki, łącznie w ciągu roku około 35 tysięcy osób. Wspomniany wcześniej projekt uznania polskiego łowiectwa i myślistwa za godne wpisania na Listę UNESCO – to szczyt megalomanii i pomysł sprzeczny z oczywistym współczesnym poglądom na ten proceder masowego mordowania zwierząt, nazywanych zwierzyną. Ostatnio wzburzenie obrońców coraz trudniej chronionej polskiej przyrody wywołał pomysł uznania bobrów za zwierzynę łowną !!! Protesty budzi również odpłatne – także dewizowe – eliminowanie żubrów dla higieny pogłowia. Kilkanaście lat temu równie barbarzyński był ministerialny pomysł wystrzelania łosi i wilków, Zdumienie budzi projektowanie nobilitacji łowiectwa polskiego jako zjawiska ważnego dla światowego dziedzictwa kulturowego.

Od 1979 roku Muzeum w Krzemionkach jest częścią Muzeum Historyczno-Archeologicznego w Ostrowcu Świętokrzyskim (dawniej Muzeum Regionalne). W 1990 roku otwarto kolejny odcinek podziemnej trasy turystycznej oraz pawilon nad wejściem do trasy. W prehistorycznych wyrobiskach prowadzone są prace badawcze i konserwatorskie, a od 2002 roku rozszerzono działalność muzealniczą. Odtworzono w skali 1:1 otoczenie neolitycznego szybu górniczego wraz z zadaszeniem. Obecnie trasa turystyczna jest jedyną w swoim rodzaju „ścieżką edukacyjną” w skali światowej dostępną dla turystów. W latach 2004-2009 organizowane były systematycznie „archeologiczne lekcje muzealne”, a ostatnio także atrakcyjne „noce muzeów”, popularyzujące wiedzę o górnictwie krzemienia pasiastego z epoki neolitu.

*Tomasz Kowalik
Fot. Piotr Dacko*



Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Refleksje na połowę sezonu

Koniec lipca, połowa turystycznego sezonu letniego. Przyjmijmy bowiem, że letni sezon w górach trwa od początku czerwca do końca września. Kwiecień i maj to sezon wiosenny, a październik i listopad – jesienny. Podstawą owych refleksji są kroniki Grupy Podhalańskiej GOPR i TOPR od 14 do 27 lipca. Zestaw interwencji ratowników górskich obejmuje około 70 przypadków, które zebrałem w 10 grup. Są to: urazy stawu skokowego, niepodolewanie trudom wędrowki, zatrzymanie krążenia, kontuzja/złamanie (poza stawem skokowym), zasłabnięcie, zabłądzenie, strach/blokada psychiczna, ukąszenie, zachorowanie (poza zasłabnięciem i zatrzymaniem krążenia) i wypadek na rowerze. Oczywiście, różnorodność przypadków jest spora i trzeba było jakoś je usystematyzować, stąd takie, a nie inne ich pogrupowanie. W kilku przypadkach obrażenia były złożone i trudno je zakwalifikować do jednej grupy.

Jeśli można tak powiedzieć, to „najpopularniejsze” były **kontuzje/złamania** w ilości 20. Były to złamania nadgarstka, rany głowy (spadające kamienie), złamanie podudzia, urazy barku, zwichnięcia, rany twarzy na skutek potknięcia i upadku. Drugie miejsce w rankingu wypadkowości zajmuje **staw skokowy**, a dokładniej jego zwichnięcie. Nie przeczę, jest to uraz bardzo bolesny i wymagający fachowej interwencji, sam kiedyś go doświadczyłem na Babiej Górze, ale najpierw musiałem zejść z Brony do schroniska, a potem po opatrzeniu w goprówce (*Altacet* i opaska) na Markowych dałem radę zejść do Zawoi Markowej do autobusu. Do głowy mi nie przyszło wzywać pomocy, wszak ktoś mógłby jej potrzebować, znajdując się w sytuacji zagrażającej życiu (było to zimą). W przypadkach omawianych w kronikach ratowników zawsze kończyło się zwiezieniem poszkodowanego do szpitala. Rany głowy to skutek spadających kamieni. Choć niewiele jest odcinków szlaków wiodących żlebami to jednak warto, **idąc w rejon Orlej Perci czy na Rysy, założyć kask (foto)**. W zakopiańskich wypożyczalniach sprzętu można za 45 zł/doba (kaucja 200 zł) pobrać zestaw: kask, uprząż, lonża przydatne na tych szlakach.

Przypadki **zatrzymania krążenia**, mimo działań ratowniczych podejmowanych od razu przez turystów – świadków zdarzenia i szybkiego działania ratowników górskich, skończyły się śmiercią poszkodowanych. To sygnał, że należy przed wyjazdem w góry sprawdzić stan zdrowia u kardiologa.

Ratownicy wyruszali na pomoc do turystów, którzy **nie podoleali trudom wędrowki**. Niektórzy albo zapominają, w jaki teren wychodzą, albo nie wiedzą wiele o górach w ogóle, albo przeceniają swoje możliwości. Tak było w przypadku Brytyjczyka, który utknął na Czerwonych Wierchach (Małolączniak), „*boi się ekspozycji, nie jest w stanie się poruszać*” – całkowita blokada. Sytuację pogarszał padający śnieg (11 lipca). Przygodni turyści ubrali nieszczęśnika i rozpoczęli odwrót w kierunku ratowników, którzy wyruszyli z doliny. Podobna sytuacja miała miejsce w Zawratowym Żlebie, gdzie dwójka turystów została zaskoczona warunkami pogodowymi i terenowymi. Znowu pomogli im inni turyści, którzy wyprowadzili ich na Zawrat, po czym już w towarzystwie dyżurnego ratownika z Pięciu Stawów sprowadzili do schroniska. Także z dużo łatwiejszego terenu byli wyprowadzani turyści (wycieczkowicze?), który „nie podoleali” – z Doliny Kondratowej, z rejonu Myślenickich Turni, spod Giewontu, ale także z Wysokiej w Małych Pieninach.

Sporo było **zasłabnięć**, a poszkodowani turyści byli odwożeni na obserwację do szpitala. Rodzi się pytanie, czy wszyscy mamy wiedzę o swoim stanie zdrowia, o swoich możliwościach fizycznych, wytrzymałości, odporności na zmienne, czasem trudne warunki terenowe i atmosferyczne. Czy to nie jest tak, że niektórzy traktują wyjście w wyższe partie gór jak przedłużenie spaceru po Krupówkach? Czy idziemy w góry prosto zza biurka, gdzie spędzamy cały rok oprócz dwóch tygodni urlopu, bez aktywności fizycznej ograniczonej do przejścia od drzwi domu do drzwi samochodu? Coraz częściej zwracają na to uwagę ratownicy górcy zauważając, że idący w góry mają na sobie markowe buty i ciuchy, ale nie przekłada się to na bezpieczeństwo na szlaku. Oprócz wyposażenia decydującą rolę gra fizyczne i mentalne przygotowanie do wędrowki w górach. Wciąż wiele osób nie zdaje sobie sprawy z tego, że ich kondycja fizyczna wystarczająca w miejskich warunkach spokojnego i wygodnego życia (samochód, supermarket, winda, telewizor, grill) niekoniecznie jest adekwatna do wysiłku na górskim, choćby najłatwiejszym, szlaku.

Nie obyło się też bez kilku **zabłądzeń** – **zgubień szlaku**, na szczęście „zguby” udało się dość szybko odnaleźć, poza jednym przypadkiem w Beskidzie Śląskim w okolicach Bielska Białej. Zdarzenie miało miejsce 31 lipca, a szczęśliwy koniec nastąpił 2 sierpnia między Klimczokiem a Błatnią. Inne przypadki miały miejsce na Granatach w Tatrach, w rejonie Polany Wały w Beskidzie Wyspowym, w pobliżu Mogielicy i Mszany Dolnej (też Wyspowy).

W kilku przypadkach turystom „siadła psycha” i z powodu **blokad psychicznej** nie byli w stanie kontynuować przejścia. Oto 12-latek z ojcem poszli na Rysy. W połowie Grzędy (to najbardziej eksponowane miejsce na szlaku) chłopiec „wymiekl”. Wyprawa skończyła się na pokładzie goprowskiego „sokoła”. Nasuwa się pytanie: czy szlak na Rysy jest odpowiedni dla 12-lątka, jakim doświadczeniem dysponował ów młody turysta, czy przeszedł wcześniej kilka szlaków z ekspozycją, czy nie nastąpił przerost ambicji nad rozsądkiem i doświadczeniem? Wciąż wielu ludziom wydaje się, że mogą iść zawsze i wszędzie, na każdy szlak bez względu na umiejętności, doświadczenie, kondycję, wiedzę, stan zdrowia, itp., itd.

Przypadki, na które ofiara nie miała wpływu to **ukąszenia**: czy to osy, czy to żmii, czy to psa. Przyroda czyha na nas, choć jesteśmy jej częścią i czasem gryzie, kąsa, szczypie. Warto wiedzieć, czy nie jest się uczulonym choćby na jad osy. Ukąszenie grozi reakcją alergiczną, obrzękiem, problemami z oddychaniem.

Ratownicy wyruszali wiele razy do osób, które **nagle zachorowały**. Były to bóle brzucha, odwodnienie, skurcze nóg uniemożliwiające poruszanie się, utrata przytomności, dolegliwości sercowe (nadciśnienie), bóle mięśniowe. W większości przypadków są to objawy przewlekłych chorób, o których turysta wie i je ignoruje albo nie wie. Polecam przed wyjazdem w góry kontrolną wizytę u swojego lekarza rodzinnego albo choćby regularne sprawdzanie ciśnienia krwi w ciągu tygodnia poprzedzającego wyjazd. Jeśli wartości stale przekraczają 140/90 to trzeba się poważnie zastanowić, czy nie odwiedzić lekarza i zapytać, czy górską wędrówkę będzie bezpieczna. Jeśli pojawiają się skurcze w łydkach i ból mięśni to też jest sygnał, że coś nie jest w porządku. Może za niski jest poziom magnezu i potasu. Doraźnie można łyknąć *Aspargin* (dostępny bez recepty), przeczytawszy uprzednio ulotkę. Nie wiem czy pomoże każdemu – mi pomógł.

Mniej w tym roku było doniesień o zatruciach pokarmowych i bardzo dobrze.

Duży ruch rowerowy na górskich ścieżkach i drogach przekłada się na sporą ilość wypadków **podczas jazdy na rowerze**. Czasem to nieuwaga na łatwej drodze (np. na Drodze Pienińskiej), w większości to poważne wypadki skutkujące urazami głowy, złamaniami, stłuczeniami, zwichnięciami. Najczęściej (czego sam doświadczyłem) zdarza się to na zjazdach. Rower ma to do siebie, że często bywa szybszy niż się nam wydaje – rowerzysta nie zawsze jest w stanie odpowiednio szybko zareagować na przeszkodę, nagłą zmianę kierunku, nachylenia zjazdu, itp.

* * *

Zastanówmy się, co turysta może zrobić sam, by uniknąć niektórych przykrych sytuacji – uważam, że większości. Właściwe wyposażenie – obuwie, ubiór. Jak wspomniano, nie gwarantuje jeszcze bezpieczeństwa na szlaku. Można być od stóp do głów ubranym w najnowocześniejsze buty i ciuchy, ale gdy zabraknie



Krucho, stromo, w kasku bezpieczniej

wiedzy, doświadczenia i rozsądku, to te ciuchy nie pomogą. Zwracają na to uwagę ratownicy górscy, komentując niektóre wypadki. Ktoś był świetnie wyposażony, ale popełnił prosty błąd, nie umiał odpowiednio użyć sprzętu i skończyło się wzywaniem pomocy. Zastanawia wciąż duża „popularność” zwicnięć stawu skokowego. Jak to pogodzić ze wspomnianym wyposażeniem? Albo to efekt wielkości ruchu turystycznego, po prostu wśród tych setek tysięcy ludzi na szlakach ktoś musi ulec wypadkowi, albo winna nadmierna ufność w owe reklamowane „buty trekkingowe” poniżej kostki, nie trzymające stawu skokowego, buty bardzo popularne wśród gości gór. Także ślepa wiara w elektroniczne gadżety wciąż stwarza różne zagrożenia. Wiele osób, będących po raz pierwszy w górach, wędruje z oczami wlepionymi w ekranik smartfona. Nie patrzą przed siebie czy na boki, nawet nie pod nogi, tylko w ten ekranik. Nawet nie widzą znaków szlaku. Nie zmyślam – widziałem. Tymczasem ratownicy wciąż powtarzają, że podstawą orientacji w terenie jest zwykła papierowa mapa i umiejętność jej czytania. Zostawmy już zapoznanie się z treścią odpowiedniego przewodnika, to już mało kto robi. Ludzie zapominają, że często mogą pomóc sobie sami. Często niektóre urazy wcale nie wymagają interwencji ratowników, a jedynie trochę samodzielności turysty i posiadania podręcznej apteczki. Wspomniałem o konieczności znajomości stanu zdrowia. No cóż, póki człek młody i nic mu nie dolega to i mało się tym przejmie. Refleksja na pewno przyjdzie trochę później – po pięćdziesiątce na pewno. Wtedy koniecznie trzeba odwiedzić swojego lekarza rodzinnego, by zapobiec kłopotom – także w górach.

Przytoczone wyżej przykłady zdarzeń i ich lokalizacji niech posłużą do chwili refleksji przy planowaniu górskich wycieczek.

Juliusz Wysłouch

CYTAT MIESIĄCA

Prasa i media elektroniczne po swojemu kreują rzeczywistość. W tej kreacji przeważa brak podstawowej wiedzy o własnym kraju (o innych też), nie brakuje zwyczajnej ignorancji i rzetelności dziennikarskiej. Tym razem fragment tekstu z pewnego tabloidu - przedstawiciela tzw. prasy kolorowej z 1 lipca tego roku.

*Zdobyli szczyt i bali się zejść. Dwójka turystów chciała w sobotę zdobyć **Orlą Perć – najtrudniejszy i najbardziej niebezpieczny szczyt** w Tatrach. Gdy doszli do Koziej Przełęczy, zastał ich zmrok. Mieli ze sobą telefony komórkowe, jednak ich światło było zbyt słabe, aby mogli bezpiecznie się poruszać. Para bała się...*

Okazuje się, że **Orla Perć to szczyt**, pomijam już szerokie uogólnienie, jeśli chodzi o lokalizację. Nie ma się co czepiać, fakt bezsporny – Orla Perć jest w Tatrach. Czy najtrudniejszy i najbardziej niebezpieczny to **szlak**, to zależy od punktu widzenia. Dla kogo najbardziej niebezpieczny? Ciekawe jest, skąd wychodzili na Orlą, jeśli zmrok zastał ich na Koziej Przełęczy, a był 1 lipca (zachód słońca w Zakopanem 21.49), a jeszcze ciekawsze, o której godzinie wyszli na szlak. Z tej notatki płynie jedna nauka – zanim wyjdiesz w góry, sprawdź gdzie jesteś, dokąd chcesz dojść i ile czasu zajmie przejście. No i weź porządną latarkę.



NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

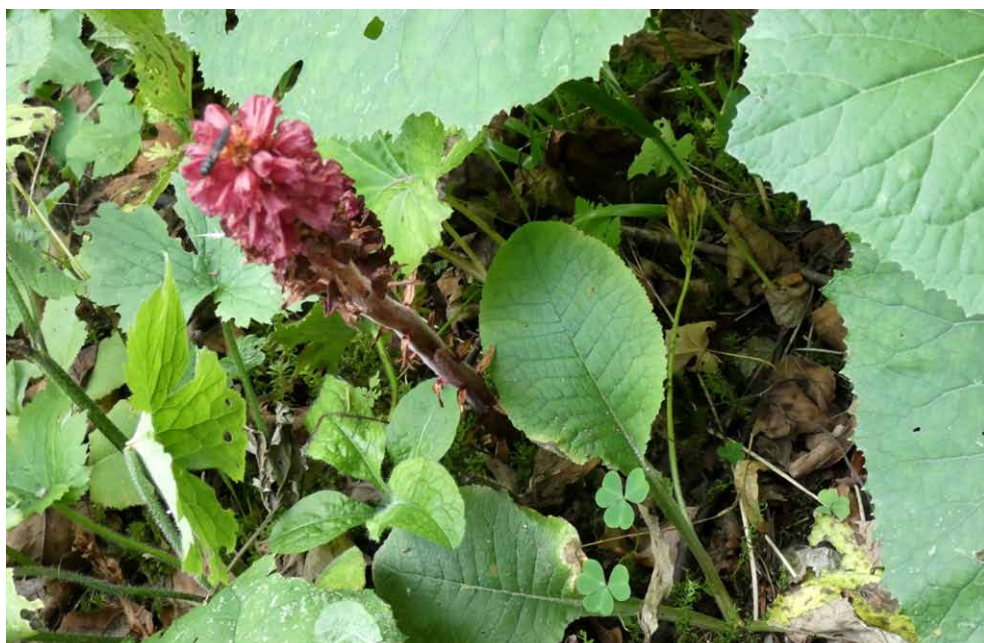
**Polub nas
na Facebooku!**

Żółta zaraza w Pieninach

To przewrotny tytuł, ale... prawdziwy! Gdy przyjmowałem do druku w roczniku popularnonaukowym artykuł o roślinach występujących na Spiszu, ale nie tych pospolitych i rzadkich, lecz „typach spod ciemnej gwiazdy”, tak autorka je określiła, nie przypuszczałem, że w krótkim czasie po jego opublikowaniu sam spotkam się z jedną z tych omawianych roślin. Są rośliny całkiem zwyczajne i egzotyczne, lecznicze i śmiertelnie trujące, magiczne i biblijne... powtarzam za autorką, czyli przyzwoici obywatele i przestępcy. W artykule właśnie opisała roślinny świat gangstersko-mafijny i jak to w życiu bywa, żyjących sobie w ukryciu leśnych zakamarków, zaroślach, mokradłach... Podzieliła je na złodziei i zabójców.

Już wygląd tych roślin jest niezwykły, nie mają chlorofilu, zatem roślina jest barwy różowej, brązowej, żółtej, białej itp., liści jakiego znamy nie mają, bo są zredukowane do łusek, ale za to... kwitną. Jak to złodziei trudno je wypatrzeć ze względu na kamuflaż, żyją w rozproszeniu i krótko są obecne na świecie.

Już wyedukowany przez autorkę przyjęciem do druku jej tekstu nie spodziewałem się, że tak szybko na swojej drodze spotkam roślinnego przestępcę. Tu wysilać się nie będę, bo jako nie-botanik o błąd jest łatwo, posiłkować się będę opisem autorki. W połowie lipca idąc Drogą Pienińską nad prawym brzegiem Dunajca natknąłem się na zakamuflowaną zarazę żółtą! Żyje sobie w ukryciu, znaleźć ją można w czerwcu lub lipcu w ustronnych jarach małych potoków i nad brzegami rzek w ziołoroślach. Z ziemi wyrasta wówczas jak przedziwna świeca brunatna lub żółta łodyga kwiatostanowa o wysokości do 70 cm, prosta, bruzdkowana i pokryta gruczołkami oraz ułożonymi skrętolegle łuskowatymi liśćmi o takiej samej barwie. Na szczycie, w kątach przysadek, wyrastają bezwonne kwiaty, tworząc kłosowaty



Orobanche flava L.

kwiatostan. Są grzbieciste, o żółtawej koronie, wardze górnej 2-latkowej i czerwono nabiegłej, dolnej 3-latkowej. Moja zaraza była bardziej brunatna, a w słońcu mieniła się jakby czerwonością. Ta dziwna roślina jest całkowitym pasożytem, nie posiadającym chlorofilu i nie przeprowadzającą fotosyntezy, nie ma korzeni, lecz ssawki, za pomocą których od swojego żywiciela pobiera pokarm i wodę z solami mineralnymi. Wszak po zjedzonym posiłku należy się czegoś napić. Zaraza pasożytuje na korzeniach lepiężnika (głównie wyłysiałego), rzadziej na podbiale pospolitym i miłosnej górskiej.

Cykl życiowy tej rośliny zaczyna się, gdy nasiona jej dostaną się do gleby (np. z wodą deszczową) i gdy znajdą się w pobliżu korzeni żywiciela. Wówczas kiełkują i tworzą ssawkę, która wnika między komórkami korzenia do naczyń przewodzących żywiciela, a kiedy nawiąże kontakt z nimi, zaczyna się jej dalszy rozwój. Powstaje bulwiasty twór, z którego zamiast korzeni wyrastają kolejne ssawki wnikające do tego samego korzenia żywiciela albo do korzeni sąsiednich roślin. Osłabia to roślinę-żywiciele, a w skrajnych przypadkach nawet może doprowadzić do jego śmierci.

Proszę, jak zaraza potrafi się kamuflować! Może sobie żyć wiele lat pod ziemią, rozrastać się, a nawet rozmnażać wegetatywnie, nie ujawniając na powierzchni! Po jakimś czasie tego ukrywania się z bulwy wyrasta nad ziemię łodyga kwiatostanowa, która po zapyleniu znów rozsiewa śmiercionośne nasiona.

W Polsce zaraza żółta rodzaj *Orobanche* liczy 18 gatunków, część z nich jest nawet bardzo rzadkich, występuje w Karpatach, bardzo rzadko w Sudetach (odnotowano ją w Górach Sowich) oraz czasem na pogórzach. Zatem jest to gatunek górski, a dokładnie reglowy, w tym wypadku głównie w dolnym, bardzo rzadko notowany w górnym. Bywa lokalnie zagrożona tam, gdzie niszczone są jej naturalne siedliska – zwirowiska, brzegi potoków itp., głównie wskutek regulacji cieków wodnych. W Polsce jest gatunkiem narażonym na wyginięcie (kategoria VU), od 2004 objęta była całkowitą ochroną gatunkową, a od 2014 podlega ochronie częściowej.

Jej polskie ludowe nazwy to: zaraza, zielny wilk, wilk zielony, bykowe ziele, lwi ogon, skaza... intrygujące, prawda? Jan Krzysztof Kluk w swoim *Dykcyonarze roślinnym* (1786-1788) podaje, że nazwana jest wilkiem zielonym, gdyż „korzeń (...) najbliższym Roślinom kradnie soki pożywne i ztąd Wilkiem zielonym u Syreniusza naszego nazywa się”, a bykowym ziele, albowiem „Było mniemanie, że zażycie iey Krowom czyniło chęć do Byka”. Znakomite!

Niektóre gatunki zarazy są jadalne, amerykańscy Indianie Pima jedli pieczone w popiele dolne części pędów i surowe lub gotowane podziemne części. Przypuszczalnie jadalne są także niektóre gatunki krajowe, Kluk pisał o jednym jadalnym gatunku *Orobanche elatior* (= *O. major*): „roślina ta ma zapach Goździków korrzennych: wypustki iey mogą się zażywać iak Szparagi”.

Proszę, ile to można się dowiedzieć, patrząc uważnie pod... nogi! Cóż, gdybym nie miał okazji przygotować do druku artykułu pani dr Agnieszki Nickel z krakowskiego Instytutu Botaniki PAN im. Władysława Szafera pewnie przeszedłbym obok tej zarazy na Drodze Pienińskiej, nie wiedząc nawet jakaż to ciekawa i rzadka... zaraza! Może jeszcze nadarzy się okazja spotkania na drodze innego złodzieja lub zabójcy, czyli typa spod ciemnej gwiazdy, to w wolnej chwili napiszę i go przybliżę. Zdecydowanie wolę roślinnego przestępcę, niż z gatunku homo sapiens. Mojej przewodniczce po świecie niezwykłych roślin bardzo dziękuję, może zasłuży sobie na dobrą ocenę w tak mało znanej mi dziedzinie nauki.

Ryszard M. Remiszewski



Camping nr 42 PTTK
48-385 Otmuchów, ul. Plażowa 6
tel. 077/431-52-25
www.camping-otmuchow.pl
e-mail: camping.otmuchow@wp.pl

Czy coś łączy rejon Rathewalde z Sudetami?

Rathewalde w Niemczech, ściślej w Saksonii, turyści mogą kojarzyć przede wszystkim z Saską Szwajcarią. I słusznie. Dość blisko pewnej części zabudowań Rathewalde przebiega granica Parku Narodowego Saskiej Szwajcarii. To właśnie te budynki sąsiadują z okazałymi, piaskowcowymi formacjami skalnymi. I to jak sąsiadują! Ogromne skały niekiedy wyrastają tam praktycznie nad leżącymi w głębokiej i wąskiej dolinie zabudowaniami. Inny znów budynek położony jest wręcz nad skałą.

Tymczasem nieco tylko wyżej i dalej wychodnie piaskowców nagle (!) się kończą. Dolina zaś staje się – też nagle – dość płytka i znacznie szersza. Taki też jest jej początek.

W rejonie miejscowego kościoła teren zaś jest dużo bardziej płaski. Skał tam żadnych nie widać. A przecież to taki niewielki dystans od budynków leżących niżej, w głębokiej dolinie i sąsiadujących z okazałymi wychodniami piaskowców. Doprawdy – mozaika krajobrazów. I to tak blisko siebie!

Kiedy w sierpniu 2017 r. zawitałem do Rathewalde, rzuciło się mi oczy, nieco poniżej wspomnianej świątyni rozwidlenie dróg, z których jedna odbijała w prawo – do góry, zaś druga w lewo – w dół. Jeszcze bardziej w tamtym rejonie zwróciły moją uwagę kamienne, połączone ze sobą bloczki, tworzące swoisty jakby mur, powyżej którego wiodła droga, odbijająca na ww. rozwidleniu w prawo. Bloczki te miejscami wręcz łączyły się z... załączkami, bodaj naturalnych, wychodni skalnych. Doskonały to przykład tego, jak wytwór człowieka sąsiaduje z tworem natury – pomyślałem. Trochę tylko dalej i niżej od tego rozwidlenia, po przeciwnej stronie niż wspomniany jakby mur, nieco w zaroślach, znajduje się znacznie okazalsza formacja piaskowcowa. Tak zaczynają się w tym miejscu skalne atrakcje Saskiej Szwajcarii.

Udając się z rejonu kościoła, wśród zabudowań w innym kierunku – w stronę skrzyżowania z drogą łączącą centralną część Hohnstein z Lohmen też nie zobaczymy żadnych wyraźnych skał.

Wreszcie w rejonie miejsca nazywanego Hohburkersdorfer Rundblick (398 m n.p.m.), położonego powyżej zabudowań Rathewalde z jednej strony i Hohburkersdorf z drugiej, też nie ma wychodni skalnych. Co więcej, krajobraz jest tam zupełnie inny niż ten, z którym kojarzyć się nam może skalista Saska Szwajcaria. Pofalowany teren, w którym dominują użytki rolne – to ogólna charakterystyka rejonu Hohburkersdorfer Rundblick. Można zatem zadać pytanie – czy to już Sudety? A może kraniec Sudetów znajduje się dopiero w rejonie budynków Hohburkersdorf albo jeszcze dalej? Wreszcie – może Sudety zaczynają się już w miejscu, w którym... kończą się w Rathewalde wyraźne formacje skalne Saskiej Szwajcarii?

Aby udzielić precyzyjnej odpowiedzi na każde z tych pytań, należałoby zasięgnąć fachowej wiedzy z zakresu geologii (np. o tutejszych piaskowcach i granitach!), ale też geomorfologii i szeroko rozumianej tematyki podziałów regionalnych. Jednak nawet bez tego już sam pobyt w Rathewalde i zobaczenie miejsca, w którym wychodnie piaskowców – tak obficie występujące wciągającej się w dół dolinie – nagle się kończą, a krajobraz staje się zupełnie inny, daje do myślenia.



Formacja skalna blisko rozwidlenia dróg poniżej kościoła w Rathewalde

Może sytuacja jest tu podobna do tej, z którą mamy do czynienia w rejonie leżącego w Republice Czeskiej Studenego? Tam przecież dolina Studenego potoku, niżej bardziej głęboka, wąska i z wychodniami skalnymi, już na obszarze zabudowań staje się bardziej szeroka, a formacje skalne stopniowo, na pewnym jej fragmencie, zanikają. W ten sposób kończy się tam Kraina Rudaw, ściślej Czeska Szwajcaria, natomiast zaczyna ją Sudety, a konkretnie Góry Łużyckie.

Jeżeli przyjąć, że już w Rathewalde jest kraniec Saskiej Szwajcarii (*de facto* też będącej częścią Krainy Rudaw) i zarazem początek Sudetów, to granica pomiędzy nimi mogłaby – być może – zostać wyznaczona właśnie w miejscu, gdzie kończą się wyraźne wychodnie skalne i zaczyna teren ich pozbawiony. A może nie? Cóż. Trzeba by, jak wspomniałem, zasięgnąć specjalistycznej wiedzy. Tak to można sobie jedynie porozważać. Być może więc trochę fantazjuję. Takie jednak myśli mi się nasunęły, kiedy zawitałem swego czasu w te piękne strony.

No dobrze – przytoczyłem moje przemyślenia. A czy jest coś, co – bez wątpienia – łączy rejon Rathewalde z Sudetami? Owszem – położenie w Masywie Czeskim.

Bartosz Skowroński

Z plecakiem przez Morawski Kras

Na wyprawę wybieramy się ekipą liczącą trzy osoby. Wszyscy zgodnie z metryką w wieku 60+, natomiast duchem zaledwie 40-tka na karku. Zanim zaczniemy prawdziwą wędrowkę musimy przejść drogę przez mękę, czyli zaliczyć podróż pociągiem z Gdańska do Chałupek leżących tuż przy granicy czeskiej. Na plecach bagaże ważące średnio 12 kg, a w nich wszystko, co jest niezbędne na kempingu. Trasy oraz noclegi opracował Ryszard. My z Małgosią trochę na tzw. trutnia, ale tak naprawdę każdy ma jakieś obowiązki. Wiadomo – tworzymy zespół.

W Chałupkach lądujemy w niedzielę rano, następnie pieszo przekraczamy granicę. Małgosia z Ryszardem po raz pierwszy w ten sposób. Wielokrotnie bywali w tych okolicach, ale przeważnie na rowerach.

Docieramy do Bohumina. Wsiadamy do pociągu do Brna. Zaplanowaliśmy tu dwa noclegi, by spokojnie zwiedzić miasto. Nasz hotel leży w pobliżu centrum, skąd jest blisko do Placu Wolności z kolumną morową. Długo głowimy się nad dziwnym obiektem przypominającym wielki nabój artyleryjski. Okazuje się, że ma on upamiętniać ofiary wojny trzydziestoletniej. Pełni funkcję zegara, ale Czechom kojarzy się z pewnym gadżetem dla dorosłych. Z kolei na Zielonym Targu znajduje się barokowa fontanna Parnas.

Pierwszym zwiedzanym przez nas obiektem jest kościół św. Jakuba. Podziwiamy barokowy wystrój wnętrza. Wchodzimy również na wieżę, skąd podziwiamy panoramę miasta. Następnie kierujemy się do zamku Špilberg. Nie możemy oderwać oczu od położonego u jego stóp Brna. Wśród współczesnych budynków tkwią, jak bursztyny uwieszone w żywicy, zabytkowe budowle. Spośród pozostałych wymienianych w przewodnikach miejsc wartych odwiedzenia zainteresowała nas katedra św. św. Piotra i Pawła oraz Ratusz Staromiejski.

We wtorek pakujemy się, zarzucamy na ramiona plecaki (cz. *batohy na zada*) i ruszamy szlakiem rowerowym Euro Velo 9 Bałtyk – Adriatyk. Przez kilka kilometrów towarzyszy nam rzeka Svitava. Mijamy kolejno miejscowości Obrany i Bilovice. Po kilku godzinach daleko na horyzoncie

widzimy imponującą sylwetę kościoła. To Křtiny. Odpoczywamy przyglądając się budowli oraz leżącemu tuż obok zamkowi. Ryszard tłumaczy, że u Czechów



Panorama Brna

„hrad” to bardzo stary zamek np. gotycki, te młodsze nazywają „zamkami”. Ostatnie kilometry dzielą nas od kempingu w Jedovnicach położonych nad jeziorem Olšovec. Tego dnia przeszliśmy ponad 22 km z pełnym obciążeniem. To całkiem niezły wyczyn, tym bardziej, że było gorąco i duszno.

Kolejne dni spędziliśmy na wędrówkach różnymi szlakami pieszymi, zataczając codziennie pętlę z punktem startu i finiszu na kempingu. Najbardziej zależało nam na wejściu do którejś z jaskiń. Dostaliśmy wejściówki do Punkevní Jaskyně. Zjechaliśmy do niej wagonikiem. Przewodnik poprowadził nas najpierw trasą suchą liczącą 810 m. Minęliśmy Lustrzane Jezioro, nacieki Baldachim i Anioł. Dalej sztucznie utworzonym tunelem wyszliśmy na dno przepaści Macocha. Jest to najpotężniejsza, choć nie najgłębsza przepaść w Czechach. Nazwa przepaści wywodzi się z legendy. *W pobliskiej wsi Vilémovice mieszkał wdowiec z synkiem. Wdowiec ożenił się ponownie. Kiedy macocha urodziła własnego syna, chciała pozbyć się pasierba. Wywabiła go do lasu pod pozorem zbierania malin. Gdy byli na skraju przepaści, zepchnęła chłopca w dół. Dziecko zdołało chwycić się krzaków rosnących na ścianie przepaści. Drwale, którzy usłyszeli rozpaczliwe wołanie, uratowali chłopca. Wówczas ludzie ze wsi za karę wrzucili macochę w przepaść. Od tamtego czasu zwana jest ona Macochą.*

W dolnej części przepaści znajdują się dwa jeziora. Do jednego z nich – Górnego, wpływa rzeka Punkevní. Wypływa zaś Dolnym. Przy odpowiednich warunkach czeka turystów spływ tą rzeką. Na trasie rejsu jest przystanek w Jaskini Masaryka. Nazwano ją tak na cześć pierwszego prezydenta (1920–35) Czechosłowacji zwanego przez Czechów pieszczotliwie *Tatičkem*. Łącznie trasa wodna ma 440 m.

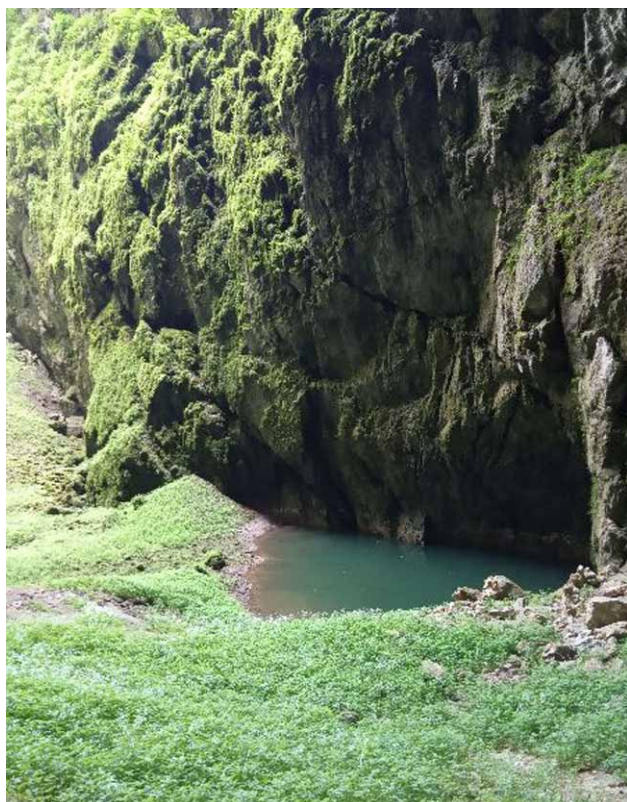
Z miejscowości zwiedzanych podczas naszych wędrówek warto wspomnieć Krasową oraz Rudnice. Na szlaku rudnickim obejrzelśmy Rudnické Propadání. Połaziliśmy po skałach, pozagładaliliśmy w szczeliny, jaskini nie zwiedzaliśmy. Można do niej wejść tylko za zgodą czeskiego związku grotolarzy.

Z tej wyprawy zapamiętam również rowerzystów. Codziennie zamiast pobudki mieliśmy przejazd dzieciaków ze szkoły rowerowej. Ćwiczyły na specjalnym torze crossowym. Niektóre miały zaledwie cztery lata, wszystkie w kaskach i strojach kolarskich. Na naszych szlakach rzadko spotykaliśmy się z pieszymi turystami, natomiast rowerzyści byli wszędzie. Nie ma się co dziwić. Widoki przepiękne, drogi bardzo dobre oraz możliwość przewozu rowerów wszystkimi środkami lokomocji powoduje tak dużą obecność kolarzy na szlakach

turystycznych i na kempingach. Obserwaliśmy rodziny z małymi dziećmi, często niespełna trzyletnimi, na rowerach i zawsze w kaskach. Te małe kajtki bardzo nas rozczulały. Z przejęciem i odważnie pedałowały zagryzając wargi.

Nasza morawska przygoda dobiegła kresu, skończył się urlop Małgosi. Wracamy do domu, ale zabieramy w plecakach wrażenia, widoki potężnych skał, fantastycznych krajobrazów oraz ciekawostki lingwistyczne. Małgosia szukała refleksowego „netoperka”, a dowiedziała się przy okazji, że „šnek” to po czesku ślimak z domkiem a ten bez skorupki to po prostu „ślimak”. Żegnam się czeskim „Ahoj”.

Elżbieta Zawadzka



Dno przepaści Macocha



Przewóz rowerów autobusem – Jadovnice (Czechy)

Ewa i Witek zapraszają do Doliny Baryczy

Trzynasty już sezon naszych krajoznawczych spotkań rodzinnych rozpoczęliśmy w kwietniu 2019 r. spotkaniem nr 44! Nieźle – dwie takie liczby: 13 i 44. Pierwsza wcale nie najgorsza, co najwyżej jest tylko dobrym usprawiedliwieniem dla nieudaczników. No, a 44 to wiadomo, nierozgryziona do dziś nawet przez największych językoznawców i mistyków liczba, która już choćby dlatego tylko jest piękna. Dwie niezwykle, piękne liczby, a imię ich – spotkanie w Dolinie Baryczy. Tak, 44. nasze spotkanie wyznaczyliśmy sobie w Parku Krajobrazowym Doliny Baryczy. Spotkanie tutaj, w tak niezwyklej ostoji ptaków, planowaliśmy od dawna. Zaangażowali się w jego organizację Ewa i Witek z Międzyborza, ale idea wyszła w dużym stopniu od Tomka i Sławka. Zwłaszcza od Tomka, naszego wiernego druha z górskich i rodzinnych szlaków, który odkrył w sobie wielką miłość do ptaków. Jako Instruktor Ochrony Przyrody PTTK i członek Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków był bardzo zaangażowany w kwestiach ochrony przyrody, a zwłaszcza właśnie ptaków, które bodaj w największym stopniu reagują na zmiany w środowisku. Cieszył się, że tak wyczekiwane spotkanie ornitologiczne dochodzi do skutku, tym bardziej, że w perspektywie było przecież – co może jeszcze ważniejsze – spotkanie z przyjaciółmi. Niestety, to, co dla Tomka i dla nas było najważniejsze, nie spełniło się. Tomek, od dłuższego czasu walczący z nieuleczalną chorobą, nie zdążył zjechać na milickie stawy. Odszedł dwa tygodnie przed spotkaniem, a my wiedzieliśmy, że to spotkanie będzie miało zgoła inny charakter. Zjechaliśmy do Krośnic 5 kwietnia. Po półrocznym niewidzeniu witaliśmy się serdecznie, ale smutku w nas nie dało się ukryć. Cały piątkowy wieczór poświęciliśmy wspomnieniom o Tomku i wspólnych szlakach. Tych wspólnych chwil było tak dużo...Wspomnień starczy na wiele jeszcze wieczorów...

Pierwszą sobotę kwietnia 2019 roku zapamiętamy. Takiej dawki przyrody jeszcze chyba nie przyjęliśmy i to w taki sposób podanej. To był naprawdę majstersztyk, który będziemy polecać wszystkim, którzy chcieliby tę baśniową krainę ptaków i ryb odwiedzić. Wystarczy, by były spełnione dwa warunki niezbędne, by przyszli potencjalni przybysze do tej krainy też mieli tę dawkę podaną w sposób porównywalny do naszego. Po pierwsze – ktoś musi im to tak zaplanować i zorganizować, jak nam Ewa i Witek Lechowiczowie z Międzyborza, a po drugie – po tej krainie musi ich oprowadzić pani Ola Wasińska, biolog z Uniwersytetu Wrocławskiego o specjalności ornitologicznej, opiekująca się z ramienia uczelni rezerwatem „Stawy Milickie”. Już prelekcja audiowizualna w jej wykonaniu utwierdziła nas w przekonaniu, że mamy przed sobą profesjonalistkę i pasjonatkę w jednej osobie, co tak często się nie zdarza.

Nasza przygoda ze stawami zaczęła się dość normalnie, bo bus dokądś nas wiozł, by na jakimś parkingu nas wysadzić i pojechać sobie. Czekamy cierpliwie, a tu zajeżdżają z fantazją trzy wozy, wypisz wymaluj Dziaki Zachód, każdy zaprzężony w dwa konie. Powoziły dwie piękne amazonki i jeden pan też, wszyscy w kowbojskich strojach, powożący westernowo, a na dodatek ciekawie opowiadający o tym, co wokół nas. Rezerwat „Stawy Milickie” to obszar dość duży, zwiedzać go metodą na piechura można, gdy ma się w zapasie kilka dni. Natomiast gdy ma się tego czasu pół dnia i jeszcze na barkach średnio siedem krzyżyków, to przejażdżka wozami, oprócz oczywistej przyjemności, umożliwia, a to chyba ważniejsze, zwiedzenie możliwie dużego fragmentu tego wspaniałego rezerwatu. A jest co oglądać!



Staw Słoneczny

Cystersi, którzy tu przybyli w XIII wieku z Czech, byli m.in. fachowcami od wody – dziś powiedzielibyśmy: od hydrologii. Nie wiedzieli, bo wówczas nie było takich pomiarów, że rzeka Barycz jest w Polsce rzeką o najmniejszym spadku (choć całkiem sporą, bo ma 133 km długości). Widząc, jak leniwie płynie, wykorzystali ją i wybudowali system stawów rybnych, co przy zbyt wartkim nurcie byłoby zapewne trudniejsze. Po co były im te stawy? Ano (to po czesku), nie lubili głodować w czasie licznych postów i...postanowili zapewnić sobie świeże dostawy rybiego mięsa. Metodą prób i błędów ustalili, że najbardziej ekonomicznym rozwiązaniem kwestii obfitości dobrego jedzenia w czasie postów jest karp. Mało kto wie, że to właśnie cystersom milickim zawdzięczamy karpia na wigilijnym stole. Mocno przyczynili się też do tego komuniści, którym karp ratował gospodarkę w okresie świąt Bożego Narodzenia

A tak już na poważnie, cystersi, wybitni fachowcy od hydrologii i hodowli ryb, stworzyli wzdłuż Baryczy system stawów różnej wielkości, przeznaczonych do hodowli różnych roczników karpia. Liczby aż zadziwiają – do dziś zachowało się 285 zbiorników o łącznej powierzchni 77 km². Wiele z tych stawów jest eksploatowanych do dziś. Niestety, jak to często bywa, z efektów pracy człowieka korzysta nie tylko on. Ptaki upodobały sobie te stawy, czemu się wcale nie dziwię – wyobrażam sobie te „wojny mnisio-ptasie” o ryby. Dziś cały ten obszar praktycznie leży w granicach największego w Polsce parku krajobrazowego – Doliny Baryczy, a rezerwat Stawy Milickie (kompleks Stawno) to prawdziwy raj dla ptaków – i także dla ornitologów, i miłośników ptaków, i ogólnie miłośników przyrody. Rezerwat jest dobrze przygotowany na przyjęcie turystów

My jechaliśmy pięknie utrzymaną groblą, a widoki zapierały dech w piersiach. Zatrzymaliśmy się w miejscu oferującym niezapomniane obrazy. Na wprost, patrząc w kierunku stawów Słonecznego i Słupickiego, wyspa kormoranów wyglądająca jak obsypany śniegiem las (i na tym porównaniu poprzestanę), na lewo – wysepka skolonizowana przez czaple, za nią wychyla się druga wyspa kormoranów...na spokojnych taflach stawów majestatyczne łabędzie, czaple, pomniejszy drobiazg, a i w powietrzu dużo się dzieje...Można dostać zawrotu głowy. A tu jeszcze pani Ola snuje super ciekawe opowieści, fachowo, z właściwą sobie swadą i perfekcją objaśnia to, co widzimy, rozdaje nam lornetki...Jak tu nie dostać tego zawrotu? Pojechaliśmy dalej, aż do Grabownicy, gdzie stoi, wybudowana dla takich jak my głodomorów przyrody, Wieża Ptaków Niebieskich. Zostanie nam w pamięci widok gromadki prawdopodobnie blisko spokrewnionych bielików, szybujących tak wysoko, że były prawie niedostrzegalnymi przecinkami na niebie. Trochę później mieliśmy więcej szczęścia – widzieliśmy bielika całkiem z bliska, pijąc kawę na tarasie restauracji w Grabownicy. To już nie był przecinek, to był frunący majestatycznie olbrzym. Dla nas, nawykłych do widoku wróbli, najwyżej kawek, gawronów to przeżycie niezapomniane! Chwilami chciałoby się, wzorem Ptaśka z powieści Williama Whartona, wzbić się w powietrze i popatrzeć na ten piękny kawałek świata z lotu ptaka! W drodze powrotnej do Krośnic zatrzymaliśmy się we wsi Duchowo, gdzie można



Najlepszy sposób zwiedzania rezerwatu



Milicz – miasto ptaków

zwiedzić porządnie odrestaurowany wiatrak koźlak i muzeum młynarstwa; zwiedziliśmy też Centrum Edukacyjno – Turystyczne „Naturum” w Rudzie Sułowskiej (warto!). A już w samych Krośnicach, na krańcu wsi, zobaczyliśmy dwa domy zbudowane z rudy darniowej; tylko pozazdrościć mieszkańcom – żyją pięknie i zdrowo.

Nasze 44. spotkanie zwieńczyliśmy zwiedzaniem Milicza. To pozornie takie sobie małe miasteczko, leżące na uboczu między większymi, bardziej znanymi, przy bliższym poznanie okazuje się bar-



Nasza rodzinka przed pałacem

dzo ciekawe, obfitujące w takie atrakcje, że pewno starczyłoby dla tych sąsiednich, większych. Już w neolicie mieszkali tu prehistoryczni osadnicy. Istnieją dowody archeologiczne. Jednakże pierwszym, oficjalnym dokumentem potwierdzającym istnienie tu grodu jest bulla papieża Innocentego II z 1136 roku, gdzie miejscowość wystąpiła pod nazwą Miliche. Od tej pory dużo działo się w Miliczu. My poznaliśmy dowody bogatej jego historii: ruiny zamku książąt oleśnickich z XIV wieku, Kościół Łaski wybudowany w I poł. XVIII w. na zasadach podobnych jak kościoły pokoju, zespół pałacowy z II poł. XVIII w. otoczony pierwszym na Dolnym Śląsku parkiem w stylu angielskim – te wspaniałe zabytki architektury poznaliśmy słuchając ciekawych opowieści pani Oli, która posiada bogatą wiedzę historyczną. Ale nie tylko historią i stawami Milicz stoi. Dużo tu dzieje się współcześnie. Miasto jest pięknie rewitalizowane, a w architekturę miejską wplecione są całkiem współczesne atrakcje. Milicz to miasto ptaków, mnóstwo ich podobizn jest ozdobą ulic. Na płycie rynku usytuowano promenadę sław siatkarskich. Dawni mistrzowie, trenerzy, i ci całkiem współcześni i to obojga płci mają tu swoje tablice z odlewem dłoni. Powspominaliśmy sukcesy drużyny Wagnera i Złotek Niemczyka. A, jakby tego było mało, stał się Milicz rowerową stolicą Dolnego Śląska. W gminie jest ponad 100 km ścieżek rowerowych, na rynku stoi biały rower – kto wie, czy miłośników turystyki rowerowej nie przyciąga nazwisko mistrza Ryszarda Szurkowskiego, urodzonego całkiem blisko Milicza, w Świebodowie.

Spotkanie zakończyliśmy w miłej kafejce opodal słynnego kościoła. Kawa, ciastka, lody trochę załagodziły moment rozstania. A spotkanie zakończyło się dość niespodziewanie. Otóż pani Ola zaczęła opowiadać o corocznych, sierpniowych akcjach „Bukówka” w okolicach Kamiennej Góry. Bogda, nasza guru, temat podchwyciła i tak oto w przyszłym roku w sierpniu podczas naszego kolejnego spotkania będziemy...obraczkować ptaki. To niesamowita gratka, wręcz dar losu dla nas, domorosłych ornitologów. No, a Tomek – nie wiem, w jakim teraz jest niebie, ale i tu na Stawach Milickich i w przyszłym roku na Bukówce na pewno byłby w siódmym!

P.S. Tomasz Puszczyński odszedł od nas w wieku 71 lat. W swoim niezwykle ciekawym, bogatym życiu pasjonował się przyrodą, historią, architekturą. Poznawał swój kraj – Polskę - w sposób nadzwyczaj aktywny. Jako turysta górolaz i krajoznawca zdobył ponad 100 odznak krajoznawczych. Najbardziej cenił sobie jednak zdobycie Korony Gór Polski i Korony Sudetów. W swoim konińskim oddziale PTTK organizował imprezy krajoznawcze, propagujące ochronę przyrody i aktywny sposób poznawania ojczystego kraju. Był niezastąpionym organizatorem Nocy Sów. Jako członek Stowarzyszenia Polskich Fotografików Przyrody organizował wystawy swoich zdjęć.

Był laureatem wielu ogólnopolskich konkursów krajoznawczych. W ubiegłym roku został Krajoznawcą 2018 w konkursie długofalowym organizowanym przez redakcję miesięcznika „Poznaj swój kraj”. W tym roku też celował w tytuł. Niestety, nie nadesłał już ostatniej odpowiedzi. Redakcja „Poznaj swój kraj” postanowiła przyznać Mu pośmiertnie tytuł Honorowego Krajoznawcy 2019 roku.

Sławomir Chojnacki

Walory Parku Krajobrazowego „Dolina Bystrzycy”

Przemieszczając się dość często pociągiem między Karkonoszami i Wrocławiem, zastanawiałem się nad atrakcjami turystycznymi w gminach Mietków i Kąty Wrocławskie. Z powodu natłoku obowiązków ich poznanie umożliwiło mi dopiero szkolenie zorganizowane przez Stowarzyszenie TUITAM dla przewodników. Odbędzie się w ramach projektu pn. „Walory kulturowe i krajobrazowe Powiatu Wrocławskiego”, który został sfinansowany przez Powiat Wrocławski.

Na szkolenie dotarłem oczywiście pociągiem. Wysiadłem w Imbramowicach i pieszo dotarłem do Domanic. Tam dojechali autokarem z Wrocławia pozostali uczestnicy szkolenia.

Rozpoczęliśmy od zwiedzania kościoła rzymskokatolickiego pw. św. Anny w Domanicach (gmina Mietków). Obejrzelśmy XVII-wieczne wyposażenie świątyni. Przewodnicy: Marta Miniewicz i Zbigniew Sobierajski z TUITAM przybliżyli nam historię barona Louisa de Monteverquesa – pana tutejszego zamku, który poświęcił życie służbie wojskowej w armii austriackiej. Walczył w wojnie trzydziestoletniej po stronie katolickiej Austrii. W 1640 roku awansował na pułkownika i został komendantem twierdzy w Legnicy. Ożenił się z... protestantką – Anną Heleną Seidlitz. Po śmierci pierwszej żony poślubił Sophię Nostitz. Obie żony z córkami barona przedstawiono na obrazie znajdującym się w ołtarzu głównym kościoła w Domanicach, a opiekunką świątyni została św. Anna – dla upamiętnienia pierwszej żony L. de Monteverquesa.

Jak się dowiedzieliśmy, baron zadbał, aby także po nim pamięć nie zginęła. Pozostawił swój olejny portret, znajdujący się dzisiaj na ścianie pod chórem muzycznym. Kiedyś obraz wisiał nad epitafium wmurowanym w ścianę kruchty kościoła, które baron de Monteverques polecił wykonać dla siebie już za życia (z wolnym miejscem na datę śmierci) o treści: „Czytający z przychylnością [te słowa] przystań tu na chwilę i wspomnij,

**Przewodnik sudecki Zbigniew Sobierajski prezentuje odkrycie w Domanicach.
Fot. Zbigniew N. Piepiora**



Przewodnik sudecki Marta Miniewicz przybliża historię barona Louisa de Monteverquesa. Fot. Zbigniew Sobierajski



że dla człowieka nie ma na tym świecie nic bardziej pewnego niż śmierć i nic bardziej niepewnego niż [jej] godzina. Rozważając tę niepewność, poszukujemy pewności: czy to nam jeszcze żyjącym pomoże w pamiętaniu o mającej nastąpić śmierci...”.

Następnie organizatorzy zaprezentowali nam swoje odkrycie. W krypcie grobowej znajduje się XVII-wieczna polichromia przedstawiająca scenę Sądu Ostatecznego. Ciekawostką jest, że twarzy Janowi Chrzycielowi użyczył sam baron L. de Monteverques, uwieczniając się również i w ten sposób.

Z kościoła udaliśmy się do zamku w Domanicach, który słynął w XIX wieku z renesansowych witraży, które ściągają tu, do swojej domanickiej rezydencji Fryderyk Wilhelm von Brandenburg, syn z morganatycznego związku króla Prus Fryderyka Wilhelma II. Informacje o planach i stanie prac renowacyjnych zamku przedstawiła nam Małgorzata Goś – pełnomocnik inwestora – firmy Zamek Domanice sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie. Zwiedziliśmy zespół pałacowy przebudowany w XVIII wieku – dawny basen, w miejscu którego powstanie piękna łąka kwiatowa, pomnik upamiętniający Fryderyka Wilhelma von Brandenbura, pawilon ogrodowy, stajnię, wozownię, kuźnię. Zobaczyliśmy most na Bystrzycy, zamkowy dziedziniec i makietę zamku w Domanicach autorstwa Artura Krzystkiewicza.

Potem na spacer zabrała nas Małgorzata Pietkiewicz, która jest ornitologiem. Przedstawiła nam Zalew Mietkowski jako miejsce wypoczynku, rekreacji i uprawiania sportów wodnych oraz siedlisko wielu gatunków ptaków wodnych i błotnych. Podczas spaceru udało nam się ‘upolować’ trznadla zwyczajnego, mewy srebrzyste i mewy śmieszki, łyski zwyczajne z młodymi oraz remizy zwyczajne. Podziwialiśmy także Ślężę (718 m n.p.m.) monumentalnie wznoszącą się nad Zalewem Mietkowskim.

Po spacerze pojechaliśmy autokarem do Jurczyc (gmina Kąty Wrocławskie). Na miejscu firma KayakTours



Trznadel na gałęzi. Fot. Zbigniew N. Piepiora



Ślęża z Zalewu Mietkowskiego. Fot. Zbigniew N. Piepiora



Nad Zalewem Mietkowskim. Fot. Zbigniew N. Piepiora

zapewniła każdemu uczestnikowi szkolenia miejsce w dwuosobowym kajaku, opiekę przewodnicką oraz opiekę podczas spływu. Rozpoczęliśmy spływ kajakowy rzeką Bystrzycą do miejscowości Skalka.

Kajakiem umiem pływać od dziecka, pływałem jednak głównie po jeziorach i sztucznych zbiornikach. Ponadto mieliśmy płynąć częścią Bystrzycy, która znajduje się na Nizinie Śląskiej, a nie w górach. Pewnie dlatego mnie, tak jak i części uczestników wydawało się, że nie będzie to trudne zadanie. Spływ zweryfikował nasze umiejętności.

Pierwsza przewrotka podczas spływu, jak i w moim życiu okazała się dramatem. Kolega wy dostał się na brzeg i złapał kajak, a ja walczyłem z rwącym nurtem Bystrzycy trzymając się powalonego drzewa. Wdrapałem się na nie. Po przejściu przez pokrzywy i chaszcze pełne komarów i kleszczy odwróciliśmy kajak i wylaliśmy wodę, aby ruszyć dalej.

Dopiero po dziewiątej przewrotce skoordynowałem sterowanie kajakiem z moim kolegą, który płynął pierwszy raz w życiu. Okazało się, że najistotniejszą rolę w maksymalnie obciążonym kajaku odgrywał balast... Ponadto na każdą przeszkodę trzeba było mieć odpowiednio przygotowaną wcześniej strategię i wtedy każde utrudnienie stawało się łatwe do pokonania. Zdarzały się jednak i takie sytuacje, że trzeba było wdrapywać się z kajaka na powalone drzewo, puszczając go pod spodem. Nie każdy więc nadaje się do uprawiania hobby, jakim są spływy kajakowe.

Gdy dopłynęliśmy do Skalki, czekała na nas ekipa z firmy Kayak-Tours, która przewiozła nasze rzeczy i przygotowała ognisko. Spływ się przedłużył, dlatego rozpoczęło się ono o 19 zamiast o 17. Po przebraniu rzeczy i szybkim upieczeniu kiełbasek wyruszyliśmy o 19.30 z powrotem do Wrocławia.



**Polowanie na ptaki z ornitologiem Małgorzatą Pietkiewicz.
Fot. Zbigniew Sobierajski**



Spływ kajakowy po Bystrzycy. Fot. Zbigniew Sobierajski

Zbigniew Norbert Piepiora

Wycieczka Szlakiem Twardych Zawodów

W sobotę 4 maja 2019 roku do Szklarskiej Poręby zaproszono wszystkich chcących dowiedzieć się, jak w dawnych czasach organizowano pracę przy wydobywaniu urobku i jego przetwarzaniu. Sudeckie Bractwo Walońskie postanowiło wytyczyć Szlak Twardych Zawodów. Ma on prowadzić przez ważne punkty związane z dawnym górnictwem na tym terenie.

Tak nietypową wycieczkę poprowadził przewodnik sudecki Jarosław Szczyżowski. Spotkanie wyznaczono pod lipą sądową w Szklarskiej Porębie Dolnej. Nie było to miejsce przypadkowe, jako że właśnie tutaj odbywały się procesy sądowe mniejszej rangi. Zwyczajowo w ciepłe dni sędziowie zbierali się w takich miejscach, by po zapoznaniu się z dowodami danej sprawy wydać stosowny wyrok. Miał on być surowy, tak by odstraszał potencjalnych przestępców, ale sprawiedliwy. Sprawy sądowe w tamtych czasach trwały niemal tak długo, jak w czasach dzisiejszych. Z tym, że wtedy nie wynikało to z biurokracji ale z faktu, że sędziowie podczas obrad byli częstowani piwem, oczywiście na koszt sądownego. Gdy pogoda nie sprzyjała tego typu procesowi, przenoszono się do karczmy.

Ze względu na nieciekawą pogodę wycieczka udała się w stronę Chybotka mijając po drodze bardzo ważne miejsce na mapie Szklarskiej Poręby. Miejscem tym jest Chata Izerska, w której organizowane są spotkania z cyklu Terra Incognita.

Głowa cukru, jak nazywają niektórzy ruszający się wielki głaz, usytuowana jest na niewielkim wzniesieniu. Dzisiaj nie ma tutaj specjalnych widoków, jednak wiele lat temu, kiedy działające w okolicy huty szkła zużywały przy produkcji ogromne ilości drewna, tereny te były zupełnie wylesione i widać było bardzo rozległą panoramę. Ponieważ transport, jakim dysponowano wtedy, był niesamowicie drogi, łatwiej było przenieść całą hutę w nową lokalizację. Tak też czyniono. Dlatego mamy ślady hut w różnych miejscach. A trzeba wiedzieć, że mistrzowie szklarscy opanowali sztukę wyrobu produktów szklanych do perfekcji, co nie było łatwe ze względu na fakt, że wszystko utrzymywano w wielkiej tajemnicy. Zdradzenie technologii wytwarzania takich wyrobów często było karane śmiercią.

Wspomniany Chybotek to miejsce szczególne, jeśli chodzi o pozyskiwanie skarbów, jak i ukazanie ludzkich ułomności. W tym przypadku chodzi o chciwość. Otóż właśnie tutaj raz w roku otwiera się tajne wejście do skarbcza. Kiedyś akurat na taki moment trafiła uboga kobieta. Gdy zobaczyła zgromadzone skarby, nie mogła się oprzeć i zachłannie pakowała ile tylko mogła złotych monet do kieszeni. Zdjęła nawet chustę z głowy, by wykorzystać



ją jako worek na klejnoty. Wiedziała, że od momentu wejścia do skarbcza nie ma zbyt dużo czasu na opuszczenie go, dlatego nabrawszy tyle wszelkiego dobra, ile mogła udźwignąć, szybko wyszła z podziemi, które zamknęły się z hukiem. Ona, zadowolona, pobiegła do domu. Gdy ochłonęła, uświadomiła sobie, że czegoś jej brakuje. Okazało się, że zaślepiona chciwością zostawiła w podziemiach swoje dziecko. Szybko pobiegła z powrotem – niestety – przejście nie otwierało się. Na nic zdały się jej przysięgi, że odda wszystko. Przychodziła tutaj codziennie, ale drzwi, zgodnie z przepowiednią, otworzyły się dopiero za rok. Wtedy odniosła wszystko, co poprzednio zabrała i chciała odebrać zwłoki swojej pociechy. Wiedziała, że to niemożliwe, by dziecko przeżyło tutaj cały rok. Jakież było jej zdziwienie, kiedy dostrzegła bawiące się dziecko. Szybko chwyciła je w ramiona i uciekła do domu. Dopiero wtedy dotarło do niej, że prawdziwym skarbem jest dla niej dziecko, a nie klejnoty.

Dla nas, ale także dla mieszkańców Szklarskiej Poręby prawdziwym skarbem jest dziś możliwość podziwiania rozległej panoramy z miejsca zwanego Złotym Widokiem. To stąd możemy popatrzeć na Karkonosze, by znaleźć ukryte w nich piękno. I – mimo że zmienna pogoda raz pozwala nam na dojrzenie najmniejszych szczegółów, a innym razem zasnuwa wszystko mgłą – lubimy tu przychodzić, by cieszyć się tą zmiennością. Tak samo czynił wiele lat temu mieszkający w pobliżu Wlastimil Hofman. Ten wybitny malarz wiele swoich płócien namalował właśnie tutaj. Chociaż trzeba przyznać, że z ogrodu przy swoim domu miał niewiele mniej rozległy widok. Obecnie rosnące drzewa zasłaniają to i owo, ale kiedyś, gdy były małe, widać było wszystko. Mistrz Wlastimil odchodząc do lepszego świata pozostawił wiele swoich obrazów przyjacielowi, który mieszka w jego domu po dziś dzień. Można tu wejść, wysłuchać opowieści pana Wacława oraz poczuć atmosferę, jaka panowała w pracowni artysty. Pozostało tu bowiem całe jej wyposażenie.

Schodząc coraz niżej dotarliśmy do Muzeum Ziemi Juna. Jest to miejsce, w którym przebywał Wlastimil Hofman zaraz po przybyciu do miasta. Sam obiekt to stara Karczma Głodowa. Najważniejsze jest jednak to, co dzieje się tu w chwili obecnej. Bu-



dynek odbudowany po pożarze zyskał nowy wystrój wnętrza. Główną konstrukcję utrzymano w starym stylu, jednak całe wyposażenie dostosowano do wymogów stawianych obecnie obiektom wystawienniczym. Zgromadzono tu wiele pięknych, często unikatowych okazów mineralogicznych. Urządzono także wystawę związaną z Walończykami, którzy zajmowali się poszukiwaniem, wydobywaniem i przetwarzaniem wszystkiego, na czym można było zbić fortunę. Oczywiście pozyskiwali oni kamienie szlachetne czy wydobywali złoto. Ale prawdziwe bogactwo tych ziem to wszelkiego rodzaju rudy, które zyskiwały na wartości dopiero po ich przerobieniu.

Walończycy oznaczali swoje odkrycia tajnymi znakami. Jeszcze dzisiaj można takie napotkać na skałach. Niestety nie potrafimy ich prawidłowo interpretować. No, może z małymi wyjątkami. W roku 1999 Juliusz Naumowicz postanowił zebrać takich jak on sam zapaleńców i założyć Sudeckie Bractwo Walońskie. Jego członkowie mieli powrócić do tradycji, a zdobywszy odpowiednią wiedzę zaczęli pozyskiwać kamienie ozdobne, by cieszyć innych ich widokiem. Oczywiście najpierw doprowadzali je do odpowiedniego wyglądu. W naturze występują one jako zwykłe, na pierwszy rzut oka nic niewarte kamyczki. Jednak gdy się je odpowiednio oszlifuje – zmieniają się w prawdziwe caczuszka. Mało tego, kamienie te oprócz naturalnego piękna posiadają moc magiczną. Można je stosować do leczenia różnych chorób. Są przede wszystkim amuletami mającymi przynieść szczęście, zdrowie i powodzenie ich właścicielom.

Dawniej Wielki Mistrz Waloński Juliusz Naumowicz opowiadał o mocy ukrytej w kamieniach, o tym, jak ją wykorzystać czy o tym, czym grozi beztroskie nadużywanie drzemiących w nich mocy.

Najbardziej znaną opowieścią jest ta o korzeniu mandragory. To roślina rosnąca w dzikich ostępach, do których niełatwo dotrzeć. Najważniejsze jednak było to, że z jej korzenia wytwarzano lek na wszystko. Taki specyfik leczył każdą chorobę, ba, przedłużał życie. Nie było jednak łatwo pozyskać tę roślinę, strzegł jej bowiem Duch Gór wyposażając ją w swoisty system obronny. Korzeń mandragory swoim kształtem przypomina ludzką postać, potrafi zatem wydawać głos. W chwili, kiedy jakiś śmiałek wyrwał mandragorę z ziemi, ta wrzeszczała tak przeraźliwie, że swoim głosem zabijała złoczyńcę. Ludzie szybko znaleźli sposób, aby pozyskać ten cenny korzeń uchodząc z życiem, jednak odbywało się to kosztem braci mniejszych, w tym wypadku psów. Ten, kto chciał wyrwać roślinę, udawał się w góry z psem, któremu do ogona przytwierdzał sznurek. Drugi jego koniec przywiązywał do korzenia i wtedy, po zatkaniu sobie uszu i oddaleniu się na bezpieczną

odległość, rzucał nieszczęśnikowi kawałek kiełbasy. Pies, chcąc ją zjeść, biegł za nią i w ten sposób wyrywał mandragorę z ziemi. Wtedy jej krzyk zabijał psa, a nie człowieka.

Dalsza nasza trasa prowadziła do Leśnej Huty – miejsca wytwarzania wyrobów ze szkła kryształowego. Najbardziej znaną hutą takiego szkła była Józefina w Szklarskiej Porębie. To w niej wyprodukowano tysiące przedmiotów użytkowych o różnych wzorach. Zastawy stołowe z tej huty były używane na każdym dworze rodzin rządzących, nie tylko w Europie, ale i w znacznej części świata. Pracujący tu szklarze potrafili wykonać rzeczy tak piękne, że każdy, kto je nabywał był szczęśliwy z tego faktu. Mistrzowie szklarscy byli nie tylko artystami, musieli także znać się na chemii. Dzięki wiedzy utrzymywanej w tajemnicy, za której złamanie można było stracić życie, umieli barwić szkło. Szkło kryształowe samo w sobie jest bardzo cenne, ale zabarwione war-
te było fortunę. Ślad po tych umiejętnościach mistrzów szklarskich zachował się w herbie miasta Szklarska Poręba. Jest to puchar wykonany ze szkła rubinowego.

W Leśnej Hucie prowadzonej przez Henryka Łubkowskiego pracują zarówno starzy, jak i młodzi mistrzowie szklarscy. Wytwarzają oni prawdziwe caczuszka, a także produkty przeznaczone do ozdoby każdego domu. Jest to jedno z niewielu miejsc, w których starzy fachowcy przekazują swoją wiedzę młodszym.

Ostatnim miejscem na trasie był Żelazny Tygiel Waloński – osada, w której można zobaczyć, jak w dawnych czasach, kiedy nie było energii elektrycznej, wydobywano urobek z kopalni. Możemy naocznie przekonać się, że praca pod ziemią była bardzo ryzykowna. Wielu górników przypłaciło ją życiem. I nie zawsze przyczyną utraty życia była katastrofa górnicza, czasami

wystarczyła awaria systemu napowietrzania czy większe opady atmosferyczne. Dlatego w osadzie pokazano urządzenia wykorzystywane do napowietrzania szybów górniczych i do ich odwadniania. Zbudowano tu także urządzenia do wydobywania urobku. Ciekawostką jest sposób ich napędzania – bardzo prosty, wymagający tylko siły ludzkiej. Wybudowano tu niewielką kuźnię. Gdybyśmy chcieli spróbować swych sił, możemy pokusić się o próbę własnoręcznego wykonania np. gwoźdźcia. Nie ma co jednak porywać się na poważniejsze prace, typu zrobienie podkowy do podkucia konia. Tym niech zajmą się fachowcy. Osada prowadzona jest przez mincerza Sudeckiego Bractwa Walońskiego Roberta Pawłowskiego.

Mam nadzieję, że wycieczka Szlakiem Twardych Zawodów pozwoli na poznanie miejsc niezwykłych, ale także na docenienie ludzi wykonujących takie zawody. Ani wtedy, ani dzisiaj tego typu praca nie jest lekka. By ją wykonywać trzeba poznać wiele tajemnic. Tego nie nauczą nas w żadnej szkole. Taką wiedzę może uczniowi przekazać tylko prawdziwy mistrz.



Krzysztof Tęcza

XXI Regionalna Konferencja w Myśliborzu

W piątek 26 kwietnia 2019 roku odbyła się XXI Regionalna Konferencja w ramach Światowego Dnia Ziemi. Zorganizował ją Dolnośląski Zespół Parków Krajobrazowych Oddział w Legnicy oraz Wydział Architektury Politechniki Wrocławskiej. Temat przewodni – „Aktywizacja przestrzenno-gospodarcza a ochrona środowiska przyrodniczo-kulturowego na przykładzie Parku Krajobrazowego «Chelmy»” – jest tak obszerny, że zgłoszone referaty nie do końca go wyczerpują.

Przy okazji konferencji goście przybyli do Centrum Edukacji Ekologicznej i Krajoznawstwa „Salamandra” w Myśliborzu mogli zapoznać się z samym ośrodkiem. A muszę przyznać, że warto odwiedzić to miejsce. Znajduje się tu klinika dla ptaków; można wysłuchać pięknego klekotania bocianów, których aktualnie jest kilkanaście; można dowiedzieć się, które owady i ptaki są pożyteczne i co nam dają oraz jak na środowisko wpływają pozostawiane przez nas śmieci. W końcu można zobaczyć, jak wyglądają zwierzątka żyjące na tym terenie. Znajduje się tu Izba Leśna, w której zgromadzono dziesiątki okazów (aby uprzedzić zbędne komentarze podaję, że większość pochodzi z kolekcji Muzeum Przyrodniczego w Jeleniej Górze, zatem wykonane zostały dawno temu).

Konferencję otworzyli Piotr Śnigucki Dyrektor Dolnośląskiego Zespołu Parków Krajobrazowych i Elżbieta Trocka-Leszczynska Dziekan Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej.

Pierwszy przedstawiony referat: „Przemiany sieci transportowej i struktury terenów aktywności gospodarczej w otoczeniu Parku Krajobrazowego «Chelmy»” przygotował Maciej Zathey z Instytutu Rozwoju Terytorialnego we Wrocławiu. Mimo iż tytuł tego wystąpienia brzmi bardzo poważnie, same przekazane informacje były zrozumiałe nawet dla laika. Chodziło w nim głównie o pokazanie zmian, jakie zaszły na przestrzeni ostatnich lat w komunikacji drogowej, kolejowej i rowerowej.

Jeśli chodzi o komunikację drogową, to w rejonie Parku Krajobrazowego „Chelmy” trwa budowa drogi ekspresowej S3 z Bolkowa do granicy czeskiej. W toku jest także przebudowa autostrady A4. Przeprowadzona analiza wykazała, że liczba mieszkańców mogących korzystać z tych dróg wzrośnie o 12% w stosunku do dnia dzisiejszego. Zwiększy się także dostępność do stref aktywności gospodarczej.

Co do komunikacji kolejowej, aktualnie prowadzone są prace rewitalizacyjne linii nr 137 na odcinku Legnica – Dzierżonów oraz Dzierżonów – Kamieniec Żąbkowski. Poprzez budowę drugiego toru oraz elektryfikację całości ma wzrosnąć funkcjonalność tej linii.

Ostatnio opracowano koncepcje głównych tras rowerowych. Wyznaczono szerokie na 2,5 km korytarze, w których powstaną trasy długodystansowe łączące poszczególne regiony.

W drugim referacie: „Zmiany krajobrazowe przestrzeni Parku Krajobrazowego «Chelmy»” Edward Wiśniewski zajął się m.in. bałaganem w opisach map, jaki towarzyszy niemal każdemu nowemu wydawnictwu kartograficznemu. Dawniej każdy szanujący się wydawca przestrzegał ustalonych zasad. Dzisiaj mało kto się tym przejmuje, dlatego na mapach pojawiają się różne dziwne nazwy, często zupełnie nielogiczne z punktu widzenia przedstawianego regionu.

Autor przypomniał sylwetki dwóch wybitnych geografów, Janusza Czerwińskiego i Władysława Foltysa, którzy mogą być stawiani za wzór rzetelności w tych sprawach.

Omówił także zmiany, jakie zaszły w krajobrazie Pogórza Kaczawskiego na przestrzeni ostatnich stu lat. Oczywiście zmiany te przedstawił na podstawie map wydawanych w tym okresie. Dzięki temu dowiedzieliśmy



się, że omawiany teren w zasadzie zmieniał się tylko na zewnątrz. Centrum wciąż pozostaje terenem zielonym. Oczywiście zasięg lasów i łąk nie był jednakowy w poszczególnych latach – to się kurczył, to ponownie rozrastał.

Trzeci referat, Wojciecha Bobińskiego reprezentującego Państwowy Instytut Geologiczny we Wrocławiu, odbiegał nieco tematycznie od poprzednich, chociaż wcale nie tak daleko. Jego tytuł to: „Wieża widokowa jako element aktywizacji turystycznej”.

Przede wszystkim wyjaśnił pojęcie „wieża widokowa”, gdyż nie wszystkie obiekty, mimo iż tak wyglądają, można zaliczyć do tej grupy. Wieża widokowa to obiekt wybudowany przez człowieka, pozwalający na podziwianie rozległego krajobrazu lub prowadzenie obserwacji. Dlatego musi być ona wzniesiona przynajmniej kilka metrów ponad otaczający je teren.

Autor opracowania podzielił przedstawiane wieże widokowe na: wieże specjalnego przeznaczenia, wieże na ziemiach ponemieckich, wieże w Czechach, nowe wieże w Sudetach oraz wieże na Pogórzu Kaczawskim.

Jeśli chodzi o wieże specjalnego przeznaczenia są to np. wieże obserwacyjne czy triangulacyjne. Przykładem wieży ponemieckiej jest Wieżyca, upamiętniająca bitwę pod Dobromierzem, czy 17 zachowanych wież Bismarcka (np. na Wielkiej Sowie). Jeśli chodzi o Czechy, to na ich terenie było kiedyś ponad tysiąc wież widokowych. Dla przykładu można tutaj wymienić wieżę na Ještěd. Ciekawym przypadkiem jest wieża widokowa zbudowana w miejscowości Králíki (2002 rok), gdzie miasto udostępniło ziemię operatorowi sieci komórkowej bez przeniesienia prawa własności, w zamian za udostępnienie wieży turystom. Na Pogórzu Kaczawskim zachowało się sporo wież zbudowanych wiele lat temu, ale znajdują się tam również nowo wznoszone. Jako przykład pierwszych można wymienić wieżę na Bazaltowej (1906 rok budowy), a drugich – w Mściwojowie (2015) czy na Zawodnej (Zawadnej), zbudowaną w roku 2018, do której doprowadzono ścieżkę rowerową, ale nie zrobiono ścieżki dla piechurów.

Edward Zaczyński w swoim wystąpieniu pt. „40. rocznica pierwszej jeleniogórskiej wyprawy w Himalaje” przypomniał, jak przygotowywano się do tego wyjazdu. Bo przecież w tamtych czasach nie było takich ułatwień jak dzisiaj. Jedzenie nie dość, że sporo ważyło, to trzeba je było zabezpieczać przed zepsuciem, ponieważ odpowiedni sprzęt był słabo dostępny. Nie wspominamy już nawet o paszportach czy finansach.

Wystąpienie to, mimo iż nie do końca związane tematycznie z konferencją, miało swoje uzasadnienie. Otóż w budynku Centrum Ekologicznego kiedyś znajdowała się szkoła prowadzona przez Juliana Ryznara, który jako jeden z trzech członków wyprawy nie powrócił do domu. Pozostał na Annapurnie na zawsze. Dlatego na ścianie budynku została umieszczona tablica upamiętniająca zarówno jego, jak i pozostałych, którzy stracili tam życie.

Po tym wykładzie złożono pod tablicą kwiaty i zapalono znicze. Swoimi wspomnieniami podzielił się uczeń Juliana Ryznara, Marek Olszewski. Była też chwila na zrobienie wspólnego zdjęcia i krótką dyskusję.

Po przerwie Elżbieta Trocka-Leszczyńska przedstawiła referat pt. „Przestrzenie otwarte – przyjazne osobom z niepełnosprawnościami”. Współautorem tego referatu jest Natalia Ratajczak. Na początek poznaliśmy oficjalną definicję osoby niepełnosprawnej oraz stopni niepełnosprawności, bo właśnie od tego zależy, jakie formy pomocy należy zastosować.

Przywykliśmy, że dla osób niepełnosprawnych najczęstszą barierą jest zła architektura, która uniemożliwia przemieszczanie się osób na wózkach inwalidzkich. Oczywiście tak jest, ale osoby niepełnosprawne mają także utrudniony dostęp np. do kultury czy prawa. Liczba niepełnosprawnych na terenie Dolnego Śląska wynosi około 15% społeczeństwa. To bardzo dużo.



Ponieważ jedna piąta osób niepełnosprawnych porusza się na wózkach inwalidzkich, najważniejsze jest ułatwienie im korzystania z ciągów komunikacyjnych. Właśnie dlatego w 2007 roku na Wydziale Architektury Politechniki Wrocławskiej powstała Wspólna Inicjatywa Architektoniczna (WIA). W ramach corocznych warsztatów studenci realizują projekty mające na celu poprawę życia osób z niepełnosprawnością ruchową. Chodzi tutaj głównie o likwidowanie barier i przeszkód, na które takie osoby natrafiają na ulicach.



Ważną sprawą jest tworzenie tras turystycznych dostępnych dla osób niepełnosprawnych. Dzięki programowi „Polska bez Barier” zbudowano już 500 takich tras – na Dolnym Śląsku jest ich 100.

Ostatni referat: „Poszukiwania rozwiązań architektury współczesnej w kontekście architektury regionalnej” autorstwa Elżbiety Trockiej-Leszczyńskiej i Agnieszki Nowickiej przedstawiła pani Agnieszka. Posłużyła się przykładem remontowania domów przysłupowych w rejonie Bogatyni. Niestety, podczas takich prac, w wyniku nie do końca przemyślanej architektonicznie rozbudowy, często zmienia się wygląd budynków. Zostały opracowane wytyczne co do sposobu prowadzenia remontów tych obiektów. Powinno się bowiem dbać zarówno o architekturę, kolorystykę, jak i rodzaj użytego materiału. Dlatego organizuje się konkursy na projekty i wykonanie nowych domów przysłupowych, które – nawiązując formą zewnętrzną do tego typu budownictwa – mają wewnątrz stworzoną zupełnie nową przestrzeń mieszkalną, dostosowaną do aktualnych możliwości i potrzeb osób chcących mieszkać w takich domach.

Po podsumowaniu konferencji część uczestników udała się na spacer do Wąwozu Myśluborskiego, by nacieszyć się widokiem bujnej zieleni. Już dawno o tak wczesnej porze wąwóz nie był tak zielony i nie kwitło w nim tyle kwiatów.

Krzysztof Tęcza

Zamek na Czorsztynie **– wydarzenie kulturalne w Pieninach**

Na dziedzińcu zamku Wronin (11 sierpnia 2019) wystawiono po raz drugi w historii operę kameralną *Zamek na Czorsztynie, czyli Bojomir i Wanda* – Karola Kurpińskiego, dziewiętnastowiecznego kompozytora. Przypomnę, był kompozytorem późnego klasycyzmu i początków romantyzmu. Jeden z najbardziej znanych polskich kompozytorów przed Fryderykiem Chopinem, uważany obok Józefa Elsnera za ojca polskiej opery narodowej.

Po raz pierwszy operę wystawiono na zamku w lipcu 2016 roku i odbiło się to echem nie tylko na samym Podhalu, ale i poza nim, a spektakl odniósł autentyczny sukces. Nowatorski pomysł wystawienia opery w naturalnym miejscu, w którym osadzona jest akcja libretta okazał się wydarzeniem kulturalnym daleko wychodzącym poza ramy regionu. Było to pierwsze w historii takie jej wykonanie. Bez wątpienia spektakl przyczynił się do promocji całego regionu pieniniego, z drugiej strony był atrakcją dla miejscowych, którzy nie mają zbyt wielu okazji do uczestniczenia w tego typu wydarzeniach.

Zamek na Czorsztynie jest dziełem, które premierę miało 5 marca 1819 r. w Warszawie, rzadko wystawianym i zapomnianym. Jego kameralność, fabuła i nawiązanie do stylu epoki predysponuje do częstszego wystawiania, a tak się nie dzieje.

W warstwie muzycznej i słownej utwór odnosi się do rodzimej kultury, nawiązuje do klasycyzmu, częściowo utrzymany w stylu narodowym ma lekką i melodyjną muzykę. Przystępny, w części komiczny tekst nawiązuje do legend o białych damach straszących nocami. Krytycy w muzyce słyszeli melodie krakowskie, mazurka, poloneza, ludową dumkę i swojski humor.

Opera ma zaledwie dwa akty, z akcentami romantycznymi, ze względu na swoją budowę określana jest jako komiczna. Akcja utworu rozpoczyna się podczas burzliwej nocy, gdy do zamku dociera spod Wiednia rycerz Bojomir ze sługą Nikitą bojącym się opustoszałego zamku, jakby przewidując, że coś może się tu zdarzyć. Okazuje się, że zamek jest zamieszkały przez gospodarza Dobrosława, jego służącą Łucję i... białą damę, Wandę.

Libretto do opery napisał Józef Wawrzyniec Krasiński. Nie zostało ono wówczas dobrze przyjęte, krytycy uważali autora za przeciętnego dramaturga i dziwili się kompozytorowi, że powierzył mu jego napisanie. Przypomnę, libretto ma zbliżoną funkcję do scenariusza.

Do udziału w tegorocznym wydarzeniu na zamku w Czorsztynie zaproszeni zostali artyści, muzycy i aktorzy, którzy gwarantowali wykonanie artystyczne na najwyższym poziomie.

Tatrzańską Orkiestrę Klimatyczną oraz śpiewaków poprowadziła uznana dyrygentka Agnieszka Kreiner. Dyrygowała m.in. w Operze Krakowskiej i Śląskiej, Teatrze Wielkim w Warszawie, pełniła także funkcję dyrektora artystycznego Filharmonii Lubelskiej. Z udziałem Tatrzańskiej Orkiestry Klimatycznej pod jej batutą odbyły się też prawykonania utworów polskich kompozytorów współczesnych: Benedykta Konowalskiego, Jerzego Chruścińskiego, Barbary Kaszuby. Wraz z Orkiestrą Klimatyczną nagrała płyty CD: *Album tatrzański*, *Mieczysław Karłowicz*, *Klimatyczne Zakopane*, *Kolęduje Polska cała – polskie kolędy historyczne*. Równolegle od 2006 do 2014



Wchodzących na zamek czekało takie powitanie



Prezes LGD Gorcce-Pieniny Tomasz Hamerski



Tatrzańską Orkiestrą Klimatyczną dyrygowała Agnieszka Kreiner w hełmie rycerskim

współpracowała z Operą Śląską w Bytomiu i Katowicach, prowadząc między innymi przedstawienia *Cyrulika sewilskiego*. Agnieszkę Kreiner doceniam również za edukację muzyczną, jest bowiem autorką podręczników do nauki muzyki dla gimnazjum i szkoły podstawowej oraz podręcznika do audycji muzycznych dla szkół muzycznych I stopnia. Godne zauważenia. W plebiscycie Gazety Krakowskiej została osobowością roku 2016 w dziedzinie kultury w powiecie tatrzańskim. Chyba dobrze się stało, że odnalazła swoje miejsce w muzyce, bo pewnie nie wszyscy wiedzą, że oprócz studiów na Wydziale Dyrygentury w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej pod kierunkiem Krzysztofa Missony ukończyła Wydział Biologii Uniwersytetu Jagiellońskiego!

Spektakl, niektórzy pamiętający jego pierwszą odsłonę ocenili za na-
zbyt uwspółcześniony, wyreżyserował Błażej Peszek, ceniony aktor Teatru Starego w Krakowie i wykładowca tamtejszej Akademii Muzycznej. Zapisał się występem na scenie Teatru im. Słowackiego w Krakowie jako Edmund i porucznik w komedii Aleksandra Fredry *Damy i huzary* w reżyserii Mikołaja Grabowskiego. Zagrał potem Efraima Grüna w przedstawieniu impresaryjnym Witkacego *Wariat i zakonnica* w reżyserii swojego ojca.

Solistkami i pomysłodawczyniami projektu byli młodzi śpiewacy, którzy już mogą się pochwalić współpracą z największymi scenami muzycznymi i zespołami w Polsce.

Szczawniczanka Ewa Walkowska (mezzosopran) jest absolwentką wydziału wokalnno-aktorskiego Akademii Muzycznej w Krakowie w klasie śpiewu solowego Małgorzaty Ratajczak. W swoim dorobku artystycznym ma udział w wielu koncertach i spektaklach, kreowała role: Wiedźmy w operze *Dydona i Eneasze* Henry'ego Purcell'a, Niani w *Eugeniuszu Onieginie* Piotra Czajkowskiego, Vespone w operze komicznej *La serva padrona* Giovanni Battisty Pergolesiego oraz



...i bez hełmu



Wśród gości co drugi to... vip!



Nawet podczas spektaklu pokazywały się duchy!

Łucji w operze *Zamek na Czorsztynie* Karola Kurpińskiego. Tak, tak! – kto był na pierwszej odsłonie tej opery na zamku Czorsztyn, na pewno zapamiętał jej rolę! A melomani ze Szczawnicy pewnie wciąż mają w pamięci jej altową partię w oratorium *Stabat Mater* Giovanni Battisty Pergolesiego w kościele św. Wojciecha w Szczawnicy.

Druga z solistek Maria Małgorzata Złotek (sopran) – operowa Wanda, jest absolwentką wydziału wokarno-aktorskiego Akademii Muzycznej w Krakowie w klasie Marii Seremet, brała udział w kursach mistrzowskich śpiewu solowego oraz aktorskich, w 2015 roku debiutowała w Operze Krakowskiej w spektaklu *Opera bez ograniczeń*, jest członkinią zespołu wokalnego Polskiej Opery Królewskiej w Łazienkach Królewskich w Warszawie, współpracuje z krakowskim środowiskiem chóralnym, jest solistką zespołu wokalnego Cappella Marialis w bazylice Mariackiej. Jej występ na zamku w Czorsztynie znawcy oceniają wysoko, jestem tego pewien. I coś jeszcze, co mnie cieszy jako gliwiczana – jest laureatką III miejsca i wyróżnienia w VIII Ogólnopolskim Konkursie Wokalnym im. Ludomira Różyckiego w Gliwicach!

A role męskie? Bojomirem był Krzysztof Michalski (tenor), absolwent wydziału wokarno-aktorskiego krakowskiej Akademii Muzycznej w klasie Agnieszki Monasterskiej. Jest solistą zespołu wokalnego Cappella Marialis w bazylice Mariackiej, występuje z zespołem Capella Cracoviensis oraz Chórem Polskiego Radia w Krakowie.

Nikitą był Klaudiusz Leśniak (baryton), absolwent Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego we Wrocławiu w klasie Tadeusza Pszonki. Zadebiutował rolą w operze komicznej Georga Philippa Telemanna *Pimpinone* w Krakowskiej



W roli Wandy – Maria Złotek



W roli Łucji – Ewa Walkowska



Ewa Walkowska – Łucja w towarzystwie Krzysztofa Michalskiego – Bojomira i Klaudiusza Leśniaka – Dobrośława

Operze Kameralnej. Zrealizował kilka partii operowych, jedną podam – w trzyaktowej operetce *Loteria na mężów czyli Narzeczonny nr 69* Karola Szymanowskiego. Tak sobie nadmieniałem, bo to osobliwa operetka i ciekawy epizod w biografii kompozytora.

Dobrosława zagrał Michał Czok (bas), jeszcze student Akademii Muzycznej we Wrocławiu w klasie Bogdana Makala. Współpracuje z Narodowym Teatrem Edukacyjnym im. Adama Mickiewicza, którego misją jest tworzenie i realizacja projektów teatralnych oraz imprez edukacyjnych związanych z szeroko rozumianym wychowaniem poprzez sztukę, jak również przygotowaniem widza do świadomego i krytycznego korzystania z dorobku polskiej i światowej literatury. Wystąpił już m.in. w rolach Lycomedesa, w trzyaktowej melodramie *Deidamia* Georga Friedricha Haendla, Masetta i Komandora w operze o dwóch aktach *Rozpustnik ukarany, czyli Don Giovanni*, czy Antonia i Figara w czteroaktowej operze buffo *Wesele Figara*, obie z muzyką Wolfganga Amadeusa Mozarta.

Porównując pierwszą edycję opery z drugą widzimy, że wówczas Nikitę zagrał Mirosław Gotfryd, a Dobrosława Martin Pado, reżyserowała Monika Rasiewicz.

Spektakl na zamku w Czorsztynie został niespodziewanie wzbogacony o dwa kształtnie i harmonijnie wplecione utwory Stanisława Moniuszki – piosnkę obłąkanej Ofelii (tekst z Hamleta) z dziewiątego śpiewnika domowego i wyjątkowy utwór *Souvenirs de Zamek na Czorsztynie*, w oryginale fortepianowy, oparty na motywach dzieła Karola Kurpińskiego. Okazja była, bowiem w dwusetną rocznicę urodzin kompozytora rok 2019 został uchwałą Sejmu ustanowiony Rokiem Stanisława Moniuszki.

Organizatorem wydarzenia było Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania „Gorce – Pieniny”, a koordynatorką projektu Krystyna Kubik. Prezes stowarzyszenia Tomasz Hamerski poprzedził spektakl słowem wstępnym. Wśród widzów – wypełnionego po brzegi dziedzińca zamkowego – zauważyłem wójtów gmin: Czorsztyn - Tadeusza Wacha, Krościenko nad Dunajcem - Jana Dydę, wicestarostę nowotarskiego Bogusława Waksmundzkiego, posłankę Annę Paluch, prezesa Zespołu Elektrowni Wodnych Niedzica SA Leszka Bajora-Fiałkowskiego, także byłego i wieloletniego jej prezesa Grzegorza Podleńskiego, obecnie wiceprzewodniczącego zarządu Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii i pewnie wielu innych, których nie sposób było spostrzec wśród takiego tłumu. Prowadził sprawnie Piotr Gąsienica. Spektakl dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury i przy wsparciu finansowym Województwa Małopolskiego, gościny na zamku użyczył Pieniński Park Narodowy.

Na końcu relacji od siebie dorzucę, gdyby ktoś nie wiedział, że opera znaczy dzieło, a także służbę, zatem opera to służba poprzez dzieło, proste? Tego byli wszyscy świadkami na zamku w Czorsztynie!

Ryszard M. Remiszewski



Aria finałowa



Finał z brawami na stojąco, prowadził Piotr Gąsienica

Mikołaj Witaszewski

Urodził się 20 września (8 września w starym stylu) 1857 r. w Odessie w szlacheckiej rodzinie notariusza Aleksiego Witaszewskiego. Ukończył (1875) szkołę realną w Mikołajowie i wstąpił na uniwersytet w Odessie. Będąc z ojcem w Szwajcarii (1877) nawiązał kontakt z postępowym rosyjskojęzycznym czasopiśmem *Nabat*. Po powrocie stworzył wędrowną trupę teatralną i zaczął w niej występować, zbierając pieniądze na rewolucyjną działalność. Wydał jeden numer czasopisma politycznego *Echo*; dalsze numery nie ukazały się, bo zabroniła cenzura. Wstąpił do ruchu *Ziemia i Wola*. Został zatrzymany w tajnej drukarni (1878). Ranny, bo sprzeciwiał się żandarmom, dostał się do aresztu. Okręgowy sąd wojenny skazał go na 6 lat katorgi, ale ze względu na młody wiek skrócono mu karę do 4 lat.



Do 1880 r. Mikołaj Witaszewski przebywał w nowobielgorodzkiem więzieniu koło Charkowa, później w mceńskim więzieniu koło Orła, wreszcie w następnym roku przewieziono go do więzienia w Irkucku na Syberii, a w 1882 r. – do Kary w okręgu nerczyńskim na Zabajkale. Za udział w organizacji ucieczki więźniów pozostał w więzieniu zamiast je opuścić po odbyciu wyroku, a następnie (1883) trafił na zesłanie do bajagantajskiego ułusu (gminy), po czym do boturuskiego ułusu koło Jakucka. Zajął się badaniem bytu i kultury Jakutów, pisał artykuły publi-

cystyczne i utwory beletrystyczne dla gazet *Wostocznoje obozrenije* i *Sibirskaja gazeta*. Przedstawił Imperatorskiemu Rosyjskiemu Towarzystwu Geograficznemu wyniki badań jakuckiego folkloru. Wysoka ich ocena spowodowała, że dostał pracę jako kustosz muzeum w Jakucku. Pracował też w urzędzie statystycznym w Jakucku. Na prośbę rosyjskiego uczonego Dmitrija Klemenca podjął badania prawa i wierzeń Jakutów (1891). Do tej pracy zaproponował Wacława Sieroszewskiego i Edwarda Piekarskiego. Brał udział w Sibirakowskiej ekspedycji badawczej (1894-95). Został naczelnikiem ałdańskiej ekspedycji naukowej badającej kraj Jakutów (1896-97). Biegle opanował język jakucki. Stał się członkiem-współpracownikiem IRTG.

Po zakończeniu okresu zesłania w 1897 r. wrócił na Ukrainę. Podjął pracę statystyka *ziemskiej uprawy* w mieście Cherson, później na takim samym stanowisku w Odessie (1903). Ożenił się z nauczycielką Anną Dobrolubową. Zamieszkał w Mikołajowie, pracował w redakcji gazety *Nikołajewskij kurjer*. Redagował (1905) gazetę *Połtawszczyzna* w Połtawie. Był sekretarzem w redakcji gazety partii eserów (socjalrewolucjonistów) *Dielo naroda* w Petersburgu (1906). Po zamknięciu gazety za antycarską propagandę został aresztowany i po trzech miesiącach przebytych w więzieniu *Kresty* wydalony z kraju. Znowu znalazł się w Szwajcarii (1907). Dzięki znajomym w petersburskiej Akademii Nauk uzyskał stypendium na opracowanie swoich krajoznawczych materiałów z Jakucji.

W 1909 r. wrócił do Odessy, ale nie znalazłszy tam pracy, udał się znowu do Petersburga, gdzie zatrudniono go jako korektora w wydawnictwach i redaktora wydań popularnych. Pracował też jako urzędnik w towarzystwie ubezpieczeniowym, był kustoszem w Muzeum Rosyjskim. W 1915 r. IRTG nagrodiło go złotym medalem za badania w Jakucji.

Zmarł 21 czerwca 1918 r. w Moskwie. Pochowany został w Piotrogradzie (Sankt Petersburgu).

Czternastoletni pobyt Mikołaja Witaszewskiego w Jakucji zaowocował licznymi pracami badawczymi opisującymi życie i obyczaje ludu. Prace te doczekały się całościowej publikacji dopiero w 1929 r. Obok Wacława Sieroszewskiego, Edwarda Piekarskiego, Sergiusza Jastrzębskiego i Adama Szymańskiego należy do czołówki polskich zesłańców-badaczy Jakucji.

Janusz Fuksa

Z opustoszałego lasu echo niesie...

Autorka* zamieszkała pośród wzgórz, lasów i wyludnionych wsi łemkowskich w Beskidzie Niskim zaledwie trzydzieści lat temu. O Wołowcu, który ...*leży za górami, ziemia marna, długa zima...* – opowiada w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”**. Wspólnie z pisarzem Andrzejem Stasiukiem prowadzi Wydawnictwo „Czarne”.

Beskid Niski z biegiem ponad siedemdziesięciu współczesnych lat stał się krainą niemal magiczną, a w kręgach tzw. prawdziwych turystów nawet swoiście kultową. Ma wiernych sobie krajoznawców, łazików, amatorów badających przeszłość tego rejonu, gdzie zachowała się jeszcze dzika natura.

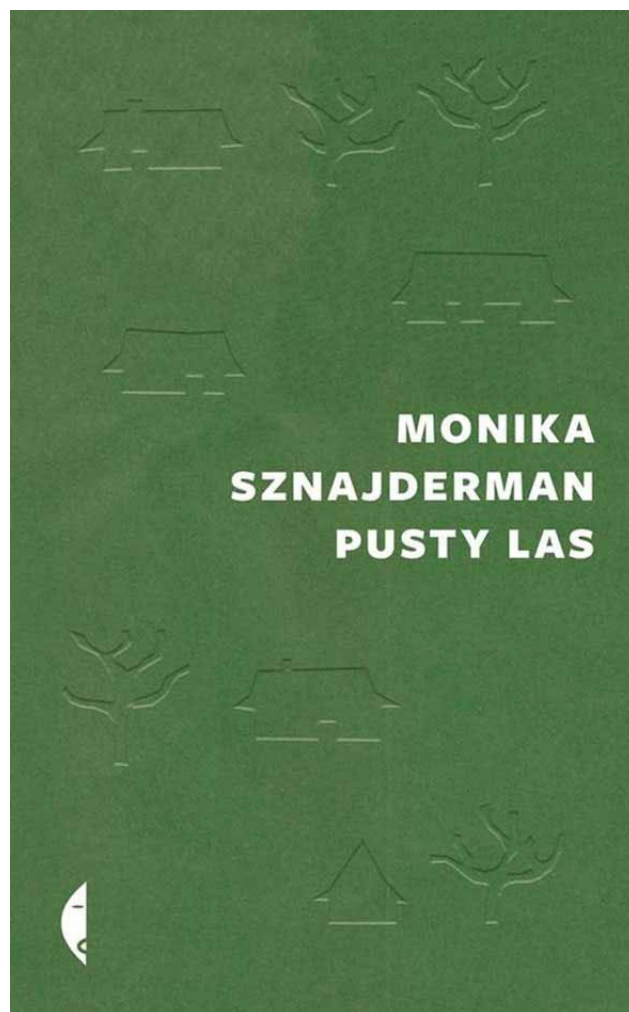
Leży w rozległym paśmie Karpat Zachodnich, po sąsiedzku z równie legendarnymi Bieszczadami. Podobnie jak one, w latach 1945–1947 została brutalnie wyludniona „za karę” podczas planowych przesiedleń i akcji „Wisła” o naturze etnicznej czystki. Opustoszałe siedliska ludzkie po swojemu zajęła przyroda. Dziś kraina znajduje się po obu stronach granicy polsko-słowackiej, biegnącej łagodnymi grzbietami gór, sięgającymi zaledwie tysiąca metrów nad poziomem morza. Polska Lackowa ma 997 m n.p.m., słowacki Busov sięga 1002 m n.p.m. Tę bujną naturę obejmuje swymi granicami Magurski Park Narodowy (od 1995 roku) i – po sąsiedzku z Bieszczadzkim Parkiem Narodowym – Jaśliski Park Krajobrazowy (od 1992 roku).

Powstały tam pierwsze polskie szyby, wydobywano ropę naftową. Dziś kraina ta znana jest też z uzdrowisk – Rymanów-Zdrój, Iwonicz-Zdrój, Wysowa-Zdrój. Obydwie wojny światowe nie oszczędziły tamtejszej ubogiej ludności, która ucierpiała zarówno podczas działań zbrojnych, jak i w czasie panicznej ucieczki (bieżeństwa). Opisywano ją jako biegunów. Osobny akt dramatu rozegrał się po wojnie w dawnym niemieckim obozie koncentracyjnym w Jaworznie.

Kraina, jak wiele dalszych i sąsiednich, swoiście tęczowa, bo tworzyli ją katolicy, grekokatolicy, prawosławni i żydzi, razem – Polacy kresowi w granicach cesarstwa austro-węgierskiego, czyli Galicji, gdzie przez długie lata panowała przysłowiowa, ale jak najbardziej prawdziwa „galicyjska nędra”. Z tych stron dziesiątki tysięcy rodzin emigrowały „za chlebem” za Wielką Wodę, do Ameryki Północnej i Południowej.

Ta książka – sięgająca „do spodu”, w dawne lata i dzieje poszczególnych miejscowości, liczących niegdyś po kilkaset rodzin i ubogich gospodarstw, budzi uznanie i podziw. Autorka odwoływała się do dokumentów – jeśli istniały – ale i do osobistych doświadczeń spisanych lub opowiedzianych przez nielicznych Łemków (tej ciągle mało znanej grupy etnicznej), historii i kolei losu ludności zamieszkującej beskidzkie roztoki.

Autorka, jak swego rodzaju archeolog (ale może lepiej uznać ją za niezwykłego krajoznawcę), sięga w głąb dziejów miejsc i losów ludzi. Podaje szczegóły, jakich zazwyczaj nie można znaleźć w reportażach,



kronikach (jeśli istnieją), przewodnikach po tej krainie, tak ochoczo opisywanej (jakże powierzchownie) w tzw. literaturze turystycznej. Sięga do metryk urodzin, świadectw ślubów, aktów zgonu, spisów policyjnych, dokumentów zbycia i kupna nieurodzajnej ziemi, do list pasażerów statków z emigrantami.

Książkę zadedykowała: *Moim sąsiadom, dawnym i obecnym* – bo za takich uważa zarówno spoczywających w mogiłach z czasu pokoju, jak i tych leżących na niezwyklej w beskidzkim krajobrazie cmentarzach wojennych. „Obecni” to zarówno ci wywodzący się z tych stron, którzy rozmaitymi drogami wrócili do swej małej ojczyzny, jak i ci, którzy ulegli magii Beskidu Niskiego i osiedlili się na starych siedliskach łemkowskich. Autorka należy do tych drugich. Reporterskie kroki dokumentalisty kierowała do istniejących, jak i już dawno zapomnianych, nieistniejących miejscowości zagubionych pośród gór i nad górskimi potokami. Dziś niejako reprezentują przeszłość: Regietów, Wołowiec, Czarne, Radocyna, Banica, Bartne, Zdynia, Myscowa, Olchowiec, Ropianka, Sękowa, Magura Małastowska, Uście Gorlickie, Skwirtne, Gładyszów, Wysowa i dziesiątki innych. Wiele z nich nawet nie istnieje na współczesnych mapach, a do starych mało kto sięga.

We wstępie do wybitnie krajoznawczej treści „Pustego lasu” czytamy: *Dawno, dawno temu, kiedy pierwszy raz zobaczyłam Wołowiec, niebo było jasnożółte, na polach tajał ostatni śnieg [...] nigdy nie kupiłam łąki w zakolu Zawoi...* Mimo to, kilka lat później, rodowita warszawianka wróciła do Wołowca i została już na kilkadziesiąt lat: *Opowiem wam tę historię.* Przyznaje też: *W ogóle w Beskidzie Niskim mieszkam już znacznie dłużej, bo przed Wołowcem były Olchowiec, Czarne, Łosie. Wszystko to były, to są wsie łemkowskie. Lub – jak wolą niektórzy – rusińskie, rusnackie.* W miarę czytania kolejnych stron (a jest ich 240), niby szary, niezbyt górski krajobraz, zmienia się wraz z porami roku i opowieściami o dawnych rodzinach Łemków, Rusinów, Żydów, Polaków.

Nie waham się, by po zamknięciu przeczytanej książki nazwać jej treść ogromnym plonem nie mniej wielkiego wysiłku i owocem staranności, a Autorkę rzetelnym badaczem, a nawet odkrywcą tego, co charakteryzuje Beskid Niski jako krainę kresową. Niestety, prawda materialna o przeszłości tej krainy jest w znacznej przewadze ukryta przed wędrującymi obecnie po tych górach i szlakach turystycznych. To w istocie tylko pokonywanie osobliwej czy też atrakcyjnej przestrzeni, wśród krajobrazu budzącego dość powierzchowne zachwyty.

Kto sięgnie do tej książki przed wędrowką, być może będzie szukał starych sadów, ginących w zaroślach zagonów, mogił, kapliczek przydrożnych. A ci, którzy poznają jej treść dopiero po powrocie, będą żałować, że minęli w beskidzkich roztokach to, co dawne i jeszcze się oparło upływowi czasu. A może (co jest wielokrotnie ważniejsze) postanowią wrócić w Beskid Niski, by spróbować odkrywać to, co im podpowiedziała Autorka. Wypada mi uznać, że Jej książka jest podręcznikiem krajoznawstwa bardzo wysokiej jakości, by nie powiedzieć unikatowej, najwyższej klasy. Każdemu życzę w wędrowce po szlakach i bezdrożach tej krainy zadumy nad jej dawnymi dziejami i wspomnieniami o *dawnych i obecnych sąsiadach* Autorki.

Tomasz Kowalik

* Monika Sznajderman, „Pusty las” (literacka wędrowka przez Beskid Niski, barwna i przejmująca opowieść o ludziach w tych górach), Wydawnictwo Czarne 2019.

** Paweł Smoleński, rozmowa z Moniką Sznajderman: „Cienie sąsiadów w «Pustym lesie»” w: „Gazeta Wyborcza. Magazyn Świąteczny”, 1–2 czerwca 2019.



Recenzja książeczki

Bacówki Edwarda Moskały

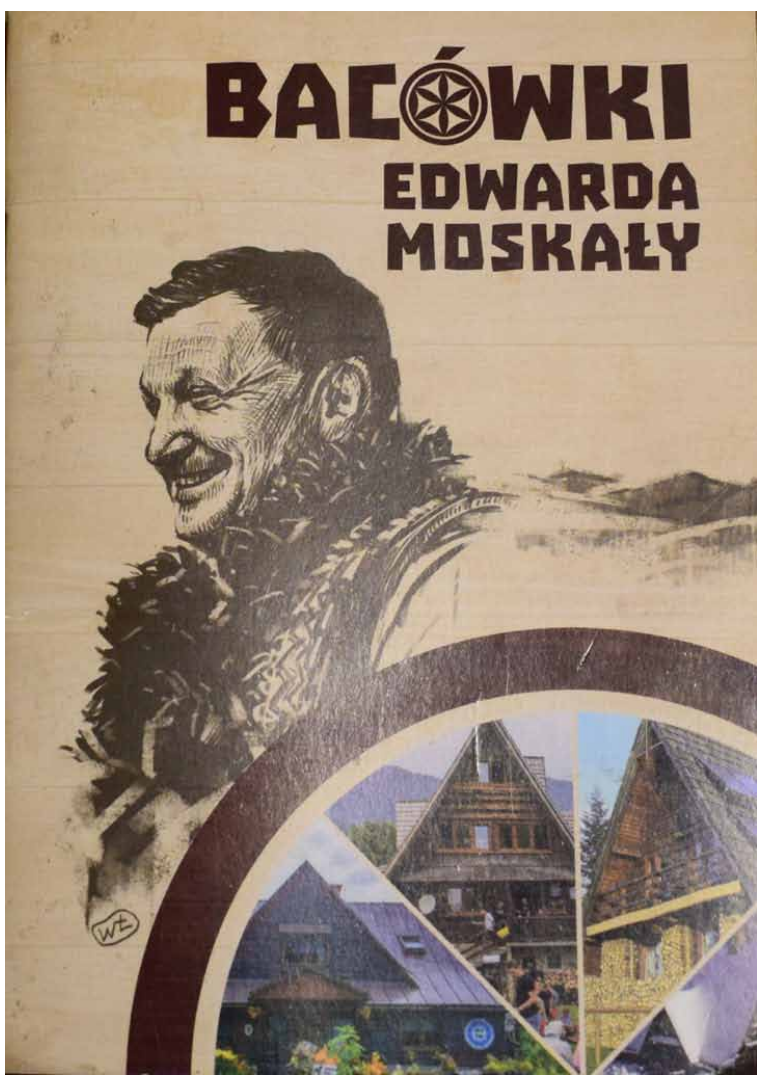
Na rynku wydawniczym ukazała się książeczka zatytułowana *Bacówki Edwarda Moskały*. Ma ona poręczny kieszonkowy format A6 i liczy 48 stron. Celem publikacji jest popularyzacja bacówek poprzez zdobywanie odznaki „Bacówki”. Z drugiej strony może też służyć jako pozycja odkrywająca historię bacówek genialnego pomysłu, nieżyjącego już, Edwarda Moskały.

Na początku książeczki znajdują się pola do wpisania danych jej posiadacza, później mamy wstęp a następnie regulamin zdobywania odznaki „Bacówki”. Według niego, potencjalny zdobywca powinien udać się do danej bacówki, wbić pieczętkę z niej i wpisać datę odwiedzin. Czas zdobywania pieczętek jak i sama idea zdobywania odznaki nie ma ograniczeń czasowych. Na kolejnych stronach książeczki możemy zapoznać się z historią bacówek PTTK w polskich Karpatach. Ich ojcem był Edward Moskała (1925-1995), człowiek, który praktycznie całe życie poświęcił górrom. Był wieloletnim działaczem PTTK i jego członkiem honorowym. To także autor licznych przewodników, panoram i map, twórca fotografii górskiej, autor ponad 500 widokówek górskich. Ponadto był inicjatorem powstania i długoletnim redaktorem naczelnym „Gazety Górskiej”, twórcą Oficyny Wydawniczej „Wierchy”. Wreszcie, a może przede wszystkim, pomysłodawcą i koordynatorem budowy bacówek – małych schronisk górskich. Na dalszych stronach książeczki przywołany został artykuł Ryszarda M. Remiszewskiego pochodzący z „Górskiej Gazety Internetowej”, opisujący kluczowy moment, a mianowicie spotkanie w zakopiańskiej kawiarni Gazda, na którym to Moskała w obecności inż. Stanisława Karpiela i Jerzego Klimińskiego rzucił pomysł powstania bacówek do obsługi turystów kwalifikowanych. Inżynier Karpiel wyciągnął papierowe serwetki i przelał na nie pomysł Moskały, tworząc projekt bacówki. I tak to się zaczęło. Bacówka miała być drewnianym schroniskiem z dwuspadowym dachem krytym gontem. W piwnicy miały znajdować się sanitariaty, na parterze bufet, kuchnia, jadalnia, zaplecze socjalne gospodarza, zaś na pierwszym piętrze i poddaszu pokoje noclegowe z obowiązkowymi łózkami piętrowymi, tak by maksymalnie wykorzystać przestrzeń. Dalsza część publikacji zawiera opis wszystkich bacówek w Karpatach z podziałem na trzy tematy: trochę historii, dzień dzisiejszy i szlaki dojścia.

Pewnym mankamentem książeczki jest brak folii na okładce, co prowadzi do szybkiego jej ścierania. Może w drugim wydaniu wydawca uwzględni tę uwagę.

Kończąc recenzję, nie pozostaje nic innego jak tylko zaprosić do lektury. Książeczka jest do nabycia w bacówkach (ok.6 zł), można też zwrócić się po nią bezpośrednio u wydawcy.

Sebastian Jakobschy



Bacówki Edwarda Moskały, wyd. pierwsze, oprawa zeszytowa, Capabilities, Bielsko Biała 2019.

Recenzja mapy „Świętokrzyskie. 101 atrakcji turystycznych”

Na rynku księgarskim ukazało się drugie wydanie mapy województwa świętokrzyskiego sygnowane przez znane Wydawnictwo Compass. Mapa ukazuje ciekawy, aczkolwiek przyznać trzeba, mało znany wśród turystów obszar Polski – jest tu mnóstwo zabytków, atrakcji kulturalnych i osobliwości przyrodniczych. Na mapie przedstawiona została większość miejsc i obiektów, które warto zobaczyć, zaś te najbardziej interesujące wybrane zostały wedle uznania redaktorów jako 101 największych atrakcji – wyróżniono je graficznie na mapie w kolorze żółtym i dodatkowo opisano w informatorze turystycznym na rewersie mapy. Te 101 największych atrakcji podzielono na następujące działy: zamki, pałace i dwory (od 1 do 10), architektura miast i miasteczek (od 11 do 17), architektura sakralna (od 18 do 35), muzea, zabytki techniki (od 36 do 58), martyrologia (od 59 do 61), przyroda (od 62 do 72), Kielce (od 73 do 78), Sandomierz (od 79 do 84), inne ciekawe miejsca i obiekty (od 85 do 101).

Rewers mapy oprócz wspomnianych opisów 101 największych atrakcji zawiera liczne zdjęcia oraz plany: Kielc (w skali 1:12 500) i Sandomierza (w skali 1:10 000). Tuż obok planu Sandomierza znajduje się opis rezerwatu przyrody Góry Pieprzowe, o których to górach nie wiedzą chyba nawet najwięksi maniacy górscy.

Zwięźle podsumowując, warto podkreślić, iż mapa „Świętokrzyskie 101 atrakcji turystycznych” jest bardzo szczegółowo opracowana a dzięki bogatym opisom na rewersie stanowi coś w rodzaju mini przewodnika. Godzi się polecić ją każdemu turyście, który chciałby złożyć wizytę w województwie świętokrzyskim.

Mapa dostępna jest w księgarniach, ale oczywiście można ją również zamawiać przez stronę internetową Wydawnictwa Compass.

Sebastian Jakobschy



„Świętokrzyskie. 101 atrakcji turystycznych”, mapa turystyczna, skala 1:200 000, format B1, drugie wydanie, Wydawnictwo Compass, Kraków 2019.

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**

Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**

Korekta: **Zofia Wiatrak**

Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wyslouch, Krzysztof Tęcza,
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Pik,
Jacek Mielcarek, Sebastian Jakobschy, Mirosław J. Barański



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931